

W końcu świat

Biblioteka „Toposu”, T. 94

Wojciech Kudyba
W końcu świat

Biblioteka „Toposu”
Sopot 2014



Od autora

Odczuwam potrzebę wytłumaczenia się z wierszy. Nie z liryki w ogóle. Raczej z tych, a nie innych, zamieszczonych tu, a nie gdzie indziej. Większość z nich ukazała się przecież w kolejnych tomach publikowanych w Bibliotece „Toposu” – myślę o zbiorach *Tyszowce i inne miasta* (2005), *Gorce Pana* (2008), *Ojciec się zmienia* (2011). *W końcu świat* nie jest jednak prostą próbą złączenia dawnych tekstów jedną okładką. Tylko kilka z nich nie potrzebowało odnowy. Pozostałe się zmieniły – niekiedy w sposób radykalny.

Może dlatego, że to ja próbowałem się zmienić, rozszerzyć własną przestrzeń wewnętrzną – kształtowały mnie zdarzenia, lektury, spotkania, podróże, długie nieraz rozmowy. Pewna część poprawek ma związek z troską o zmianę językowego wolumenu wiersza – bardzo mi zależało, by był jak najszerzy, chwytal rozmaite pokłady tradycji i rejestry polszczyzny. Niektóre zabiegi – z troską o rozszerzenie sensu pojedynczych utworów poprzez wpisanie ich w pewne pasma archetypicznych obrazów. Jeszcze inne zmiany – z próbą powiększenia obszaru najbliższych kontekstów: biograficznych, geograficznych, literackich. Bardzo ważne wydało mi się ujednoczenie interpunkcji: żeby było widać, że normy wciąż jednak istnieją. Nie daję przecinka w klauzuli wersu, poza tym jednak staram się przestrzegać zasad. We wszystkich warstwach wypowiedzi lirycznej próbuję osiągnąć efekt poruszonej formy (chciałbym by jednocześnie była zachowana i przekroczona).

Wyraźne są też zmiany kompozycyjne. Nie zachował się układ wierszy, pojawiający się w dawnych tomach, z niektórych liryków w ogóle zrezygnowałem. Zależało mi na tym, by *W końcu świat* był nową, spójną całością. Właśnie ze względu na mechanizmy spójności tekstu dokonywałem rozmaitych przesunięć, zmian tytułów, poprawek wewnątrz wierszy, a także dopisywałem nowe utwory. Myślenie o naturze, o literaturze, o wierszu w kategoriach „całości” wydaje mi się ważne. Chciałem, żeby *W końcu świat* był „cały”. Nie wiem czy jest.



I
Inne miasta



Dzieci

Emilowi

Dokąd prowadzi droga? Dokąd podróż wieczna
Przez czas? Do Turkowic? W stronę Tomaszowa?
Dokąd nadrzecznym wałem – tam gdzie wciąż od nowa
Pismo piasku układa historię miasteczka
I nas samych? Kiedy, w jakim punkcie na mapie
Kończy się to miejsce i zaczyna inne?
Stajemy w progu i w ciemnościach zimne
Powietrze nagle staje się dla nas obłokiem

Światłem, które dziś musi starczyć za odpowiedź:
Droga jest zaufaniem. Kain, Abel, Noe
Abraham i Izaak, Józef, Syn Jakuba –
To mógł być każdy z nas. W zeschniętej trawie smuga
Śladów wciąż głębsza: podróż musi być ukryta.
Pada śnieg. Ktoś, kto obejmuje w progu, znika
W głębi – być może na długie tygodnie. Zima.
W sadzie, wśród drzew srebrzystych anioł się zatrzymał.

On będzie odtąd znakiem, zamkiem, wichrem, gońcem;
Choć wciąż niegotowi, wyruszamy w końcu
Sunimy w bruk stukając, *smęcąc senne grody*
Grzechocząc tornistrami w bramy do ogrodów
W zieloną furtkę, która wolno liczy wszystkich
Mierzy skrzypieniem czas, a za nią potok bystry –
Mokra, mroczna ulica, woda zapomnienia
Droga dawno zrobiona, która nas przemienia.

Stroskani, w środku nocy stajemy, słuchamy
Pośród tak wielu światów – niepewni, zbłąkani
Szukamy odpowiedzi, lecz same pytania

←

I to, co najważniejsze, jedno, które mamy:
Czy właśnie w tej godzinie jakiś głos nieznanym
Posłaniec cichy, twardy, cierpliwy jak skała
Nie zatrzyma się przy nas, wezwie po imieniu
Otoczy głazem, cieniem i przygarnie ziemią?

Lecz nie. Przed nami jeszcze dzień podarowany
Świt jak lipowe wzgórze cięte alejami
Które wciąż się wznoszą, układają w mury
Blask, który się staje kształtem; obłok, który
Jest budowlą i miastem, spotkaniem, rozmową
Naszym dawnym mieszkaniem nagle staje koło
Grobów, w cerkwi, której nie ma, śpiewa *pomyśluj*
Pisze ikony, sypie kwiatami jaśminu.

Potem mknie wzdłuż ogrodu, porusza kolory
Wrywa z ciemności domy, wpada do obory
I w żłobie krów, tam, gdzie Bóg złożony
Cierpiał i błogosławił, gdzie miejsce naszej obrony
Przed złem, tam stawia złote zastępy aniołów.
W melancholijnej mgłę, trującym dymie gnoju
Trwa jak karbunkuł, wraca i siada za stołem
Zawsze czysty. Mamrocząc, trafiamy pod szkołę

I znikamy. A w mieście zaczyna się życie:
Znów targ i złote światło leje się obficie
Na baby i ogórki, na kury i chłopów
Na zioła i selery, wciąż znajduje sposób
By w młynie znaleźć Józia zwanego Pierdołą
I na białym od mąki czole, zaraz koło
Skroni wycisnąć mu znak wybrania, iść dalej
Wciąż dalej, by w chałupie Pierdzimka, tak starej
Jak świat, ogłosić dobrą nowinę zbawienia.
Dzwoni dzwonek, biegniemy i nic się nie zmienia
)—

Prócz nas samych. Wciąż Huczwa swe mistyczne wody
Przelewa wśród łąk i wciąż Pana Arnoldowy
Głos nawiedza Klątwy – chodzi Jurydyką
Stuka w wieczornym bruku, staje przy pomniku
Konfederatów, płacze w wietrze synagogi
Jahwe się tam z nim modli, ciszą chce pogodzić
Złączyć milczeniem, głazem, trawą, gwiazdą ranną
Pustynią, wężem, drzewem z Ziemią Obiecaną –
Bo wciąż modlą się lipy w alejach kościoła.
Wciąż dalej, wciąż musimy jechać: ktoś nas woła...

Siwa Dolina

Dotknięci wodą, poruszeni ogniem
Wiele lat temu, nagle nieruchomo
Z grabiami w ręku, w porze sianokosów
Wśród huku dział, kartaczy, przekleństw oraz jęku
W dzień, który babcia Anna nazywała sądnym
Gdy wiatr jej spódnicę rzucił na ramiona
I kiedy padła wygodka w polu, piorunem rażona.

Zwinięci w kłębek, skuleni pod skrawkiem
Starej gazety, dachem łopianu, pod miedzą
Do góry brzuchem, z drugiej strony liścia
Niektórzy całkiem zagrzebani w ziemi
Wciąż tam jesteśmy – modląc się, poszcząc, śpiewając –
Chrząszcze, robaki, ludzie, ropuchy, szerszenie
W samym środku łąki, otuleni sianem.
Teraz i na wieki wieków. Amen.

Zwierzę poetyckie

Tamtego popołudnia w upalnym ogrodzie
Za ogrodzeniem sadu, który w tle miał kościół
Pod krzakiem porzeczek, całkiem taka sama
Jak później my: chropawa, w depresji, nadęta
Z długim, giętkim językiem, manią prześladowczą
Gotowa opluć
Wielka, szara, naga.

Nieśliśmy ją w procesji, drogą wśród mchów i zawodzeń
Składaliśmy ostrożnie na ścieżce, podsuwali muchy
Nie chciała jednak ofiar, wolno kicała przed siebie
Samotnie unosząc swoją gorzką wiedzę
Na czterech łapach.

Nikt nie przypuszczał
Że kiedyś jeszcze będzie mógł ją spotkać
W tym miejscu – tam gdzie tak chętnie lubiła się chować –
Z drugiej strony miasta
W korzeniach traw, w rogu cmentarza.

Plewienie marchwi

Plewienie marchwi, dawno, skarb ukryty w roli
Topos ogrodu, wrywanie chwastów
Prosta przypowieść – być może o perle;
Trudno w nią wierzyć: ktoś w chaosie świata
Wciąż buduje harmonię
Ziemia jest bezładem.

W pustkowiu znaczeń, w rozproszeniu sensu
Wśród resztek zepsutych pokarmów, słów
W wiosennym gnoju
Wciąż ten sam promień – złocisty rdzeń marchwi
Pnie się ku górze, zapuszcza korzenie
Schyla pod dłoń wiatru
Kreśli znak na grzędzie: nawet komposty
Śmieci mogą służyć światłu
Nawet padlina staje się kwitnącym sadem.

Zakryta Studnia

Na majdanie, pod wierzbą
Znamienny początek – cembrowina studni
Kręgi jeden po drugim ku samej istocie
Żelazna pompa, przy niej stare wiadro
Głębokie dzwony i czerwcowy zapach
Łagodnych łąk.

Nienaruszona.
Zbliżyliśmy się ostrożnie, kamiennymi schodami
W poprzek skarpy, ścieżkami pełnymi winniczków
Od strony rzeki, przesmykiem znanym tylko nam
Wtajemniczonym
Przez zarośla i dzikie bzy, między płotem
I rowem melioracyjnym, poza zasięgiem domów
Zawsze twarzą do słońca
Wciąż do niej
Bezwiednie.

Napełniona.
Widzialne centrum – nazbyt oczywiste
By mogło być przedmiotem zwątpienia.
Złote znaki porostów, szlachetny
Karbunkuł mchu, błyskawice
Podziemnego lustra nie mogły nie przyciągać
Naszych wypraw, mrocznych śpiewów, rytuałów;
Zwalczaliśmy wszelkie przeszkody, spiętrzone pokrzywy
Składaliśmy ofiary, zaklinali deszcze
Byleby trwała.

Nawet jeśli byliśmy gdzie indziej, ona
Wciąż tam była:
Sama w sobie
Zupełnie osobna.

Mozaika

Tuż za drogą przez sad, zaraz po południu
Wąską ścieżką w zaroślach konopi, chaszczach tataraku
Porzucając w zamęcie broń, okręty z kory
Pióropusze, śpiewy, przepaski na biodrach
Niecierpliwie, w największej, jak się nam zdawało
Tajemnicy.

Z pozoru tylko klasyczny chłód
Obcy nam – niewychowanym barbarzyńcom –
Cierniki migocące w zanurzonych dłoniach
Zapach dzikich, nieznanych traw
Wielkie, tęczowe owady, przepływanie blasku
Być może również szeroki pień wierzby – zawsze ten sam:
Długie wąskie liście, mokra kora gałązek
Z której robiliśmy wojenne świstawki
Jakiś daleki odgłos, potem jeszcze jeden – od pól.

W istocie jednak niezbadane źródło. Praprzyczyna
Rzeczy, byliśmy bardzo blisko i znowu
Było widać, jak bije spod kamieni i jak się zaczyna
Jedna z rzek. Kładliśmy ręce i nasze milczenie
W czystych początkach miasta, drogi, domu.
W miejscu uniesień – klęcząc, połączeni
Światłem, byliśmy jak mozaika Pana
Jak żywe kamienie.

Odnalezione

To, co odnalezione: dawna ścieżka w trawach,
Nieskończona rozmowa, której jasny promień
Wchodzi w kolory łąki – wciąż głębiej i głębiej;
Wiatr, który stał się ogniem, deszcz ukryty w górze
Wąwóz żłobiony w glinie, wozy z sianem, lato.

Także daleki dąb przy trakcie, ale przede wszystkim
Stary staw: ogród zapieczętowany rzęsą.
Nie mogliśmy do niego wchodzić
Wiedzieliśmy tylko, że tam jest: w środku.
Że istnieje wewnętrzne królestwo – sploty dziwnych roślin
Osobne tańce tajemniczych zwierząt, ich płynne kroki
Zupełnie inny rodzaj oddychania, niepojęta mowa.
Mimo nieustannego ruchu niecierpliwych warg – milczenie;
Szelest trzciny, z których robiliśmy strzały
Niepewne proroctwa.

Nocami odnajdywał nas czasem przed domem.
Krążyliśmy wokół światła zajęci kolacją.
Być może zbliżał się wtedy
Na wyciągnięcie ręki – spokojny
I głęboki, ale rano był w tym samym miejscu
Co zawsze.
Wciąż w tym samym.

Tomaszów

pamięci Majki

Chodziliśmy po stawie dziadka. Tak jak należało – wolno –
Chybocąc na powierzchni, patrząc, co jest w głębi:
Majka w srebrnych sandałkach, ciocia Wanda w futrze
Babcia – trochę nieswoja, tata – jakby chwiejny.

Tuż nad lustrem, za którym był piasek.
Niepewnie, krok za krokiem
Pod nami był cmentarz
Drobne ognie na falach, kępy wodorostów
Ciemne gałęzie, wśród których czekała na nas wielka ryba
Albo Lewiatan.

W końcu ja sam: w niebieskich krótkich spodniach
Z ciemną gromnicą w ręku, w komży, wraz z innymi, kołem
Okręgiem, który ogarniał wciąż więcej i więcej –
Aż po horyzont.
Byliśmy Kościołem.

Woda

Wojtkowi Kassowi

Wciąż między nami jej niepewny promień
W splątany ogrodzie bardzo dawno, teraz:
Ścieżka przy płocie, dwie zbutwiałe żerdzie
Na które wspina się mech mokradła
Miarowe skrzywienie.

Magia mechaniki prostej, rychły ruch wahadła
Przestronna przestrzeń, pluszczące przestworza
To one były kiedyś naszym sprzymierzeńcem:
Jedno poruszenie wiosła i byliśmy nad głębią
Całkiem sami.

Co mogła mówić? Jaki rodzaj znaków
Mogła wysyłać do nas, pochylonych w łódce?
Widzieliśmy tak naprawdę niewiele:
Skrawki dawnych sieci, stare wiadro
Kamień na dnie, piasek, niestrudzoną rybę.

Mimo to przecież czuliśmy, jak spływała
Przez nasze ręce niepewnym promieniem.
Nie można było nigdy zdobyć jej na zawsze.
Była inna niż my i wciąż nas zmieniała.

Pranie, 2004/2012

Wóz siana

Był to wóz drabiniasty, wieczorem nad rzeką
Sunął w zaroślach, szeptał w sennych polach
Skrzypiał, kołysał, wolno toczyły się koła
W piskliwym piasku, w monotonnym wstawaniu mgły
Która nie chciała się skończyć.

Leżeliśmy w sianie – biedni, rozrzućeni
W starych kapotach, gaciach, trzymając się rzeczy
Jakby to one mogły nas odmienić:
Niezgrabne grabie, widły jak korzenie
Wtulone w miękkie trawy, kolory, zapachy
Nieznanych ziół.
Coś nas niosło.

Coś grało.
Był to koniec maja lub początek czerwca, zagapieni
Z otwartymi ustami trwaliśmy przed cudem
Który się wciąż powiększał, wspinał w górę
Wybuchał w chmurach, opadał w strumieniach
Podobny do nas, całkiem inny, rozpromieniał
Skry w skrętkach kłosów, lśniących sierściach ściernisk
Chrzęszczących ostach, mrocznych czerwiach czernic
Dziwił się w dzikim lesie i do tańca prosił.

Był to wielki wóz siana, był to Kościół.

Cegielnia

Niezbyt często, być może jedynie
W popołudnia podkreślane specjalnym kolorem
Raz w tygodniu, albo jeszcze rzadziej
U szczytu moreny, całkiem sami
Wciąż w tym samym miejscu
Nieruchomo.

I wciąż w podobny sposób:
Wpatrzeni w kruszący się komin
W zębate koła porzucone w dole
W zielone okna wody, w skupieniu, jakby nic
Nie było przypadkiem – ani teatr dziwnych figur z piasku
Ani śmieci szarpane wiatrem, ani gazety – podobne
Do strzępów kiedyś odbytej rozmowy. Jakby rzeczywiście
To właśnie miało się zdarzyć: najpierw rozpad
Potem wzniosły hymn powietrza
Ruch w górę, gorzki dym, zmęczenie.

Nikt od dawna nie wyrabiał tu cegły.
Rzeczy były wyłącznie znakami obrzędu.
Opustoszały boży erem trwał
Bez żadnej przeszkody na samym końcu
Jasnej, glinianej doliny – samotnie.
Na jej brzegach rósł krwawnik, nad nim nosił
Kadzidło wiatr i słońce pomału
Rozpalało swój warsztat, jakby chciało
Wypalić w tym miejscu Kościół, zanim ciało
Ogarnie cień i *sny ostatnie wsuną się we włosy.*

Pogoda

pamięci mamy

Była wtedy pogoda, jedliśmy w ogrodzie
Słońce – jakby ukryte – obracało świat.
Przedmioty były lekkie
Zmieniała się ziemia
Kładłaś na głowie rękę
Miała w sobie blask.

Wszystko było w przemianie – zaufanie, taniec
Wszystkie kolory rzeczy, jakby opadł brud
W tym, co chcieliśmy chronić, w trosce
Ktoś odsuwał ciemność.
Pytaliśmy czy umrzesz
Obiecał, że nie.

Środek i obwód

Środek może być wszędzie, w jakimkolwiek miejscu:
Schody jak świder, lekkie obroty księżycy
Nasz dawny ogród, cisza za wiśniami, w przejściu
Pomiędzy grochem i porzeczkami, lita
Ściana liści dzikiego wina, cień dębów
Nad Huczwą, różańcowa droga po okręgu.

Inaczej obwód – linia horyzontu
Stale daleka, pierzchliwa, niesforna: las w Lipowcu
Zamość, dukt do Częstochowy, lecz nagle
Kmołomyja, Győr, Alwernia, Split, Nehoju.
Dopóki nie zapadnie zmierzch – zawsze wokoło
Strzępów map, planów, schyleni, ciągle w niepokoju.

Nieprzekraczalne, zatem pewne, niepochwytne
Miasta w środku ziemi, których obwód nigdzie:
Są jak trudna Rozmowa, zawsze nieskończona
Jak ktoś, kto długo woła i bierze w ramiona.

Stary Sącz

pour Maya et Christophe

Odwiedzaliśmy miasto, nikogo nie było
W trawach znalazłaś rzekę
W niebie – szczyty ruin;

W środku – złote drzewo
(W gniazdach spali ludzie)
Właśnie piło ze źródła – w czarnym cieniu.

Musieliśmy się żegnać, wciąż nie było czasu
O czymś mówiły kamienie
Ktoś słuchał ich historii, a może też Nikt.

Rynek w grudce bursztynu
Ktoś podnosił do oka
Jakby znalazł nas w morzu
Jakby miał jakiś plan.

26.07.2013

Wstępowanie

Wstępując do Tyszowiec – w pośpiechu, w widzenia
Zawsze tak, jakby się odwiedzało niewielką
Kraję Wszystkich Świętych, jeżdżenie na święta
Do Częstochowy, Grabarki, do Jerozolimy:
Najpierw Zamość, Tomaszów, smak dymu, chłód wody
Długie słuchanie wiatru, języka doliny
Potem tylko dukt drogi, stukot deszczu o dach
Pismo, które nie kłamie – podnosi się wieża
I słyhać dawne dzwony, to jest: zaproszenie
Gdy wschodzi blask i ścieżką biegnie obietnica.

Jak zwykle o tej porze wszędzie pełno wron
Należy się spieszyć. Być może jest tylko to:
Niecierpliwa wędrówka do Świętego Miasta,
Śpiewanie, wstępowanie, długie, jasne bramy
Rozmowy z guślarzami, mroczny ogień wódki
Szeptanie modlitw, długie różańce pogrzebów
Żeganie wodą, dymem, mozolna obecność.

Lecz potem także chodzenie na cmentarz – do tych
Którzy żyją. Zapalanie ognia. Co roku
Coraz ich więcej i więcej też dzikiej róży
Głogów, ostów, mniej gestów, lecz coraz wyraźniej
Oko w oko z ciemnością. Już późno. Za murami
W miejscu, gdzie była cerkiew zaczyna się wieczór.

A zatem zmierzch. Powolne odwiedzanie nocy.
Kadisz nad grobem cadyka – tam, gdzie dawno temu
Zrywaliśmy kwiaty lipy. Jeszcze tylko długie
Szukanie naszego domu na Średniej – trudne
Po omacku. O tej porze nie ma nikogo
Kto by wskazał drogę. Jedyne mała gwiazda.

Dom zawsze gdzie indziej.

Miasta

Nigdy ich nie ma
Kiedy są potrzebne
Mapy okazują się puste, długie, sine drogi
Biegną zupełnie obce, nie kończą się domem
Jest noc, znaki wskazują wyłącznie na siebie
Wciąż trzeba jechać
Żadnego kurhanu.

Być może jednak w miejscu
Gdzie wąż dotyka się ziola
Gdzie świeci lampa
I słychać ciągnące żurawie
Na wysokie mury okryte czerwienią
Wstępuje późne złoto
I wieża ratusza woła do otwartych dolin;
Być może wciąż wznosi się Zamość
Ktoś układa w całość
Nasze ulice, kładzie w środku rynek.

Naprawdę trudno to wytłumaczyć: pozbawieni
Potrzebnych zmysłów
Pehani jedynie niezrozumiałą potrzebą wspólnoty
Wciąż próbujemy szukać niewidzialnych murów
Przeczuwamy flanki;
Za zasłoną ciemności
Odgadujemy obecność logicznego planu
Osiedli i placów, spodziewamy się
Bulwarów i parków, mamy nadzieję
Na hejnał i ruchome święta
Wierzymy w istnienie świątyni.

Lecz nie w środku.
Wciąż na zewnątrz.

Zamość

Na grudce ziemi leży płatek śniegu
Są w nim ogrody, domy, ulicami płynie tłum
Można tu mieszkać, woda daje życie
Światło – przemianę, pełne kształty – sens.

Na szarym końcu zimy zbudowano miasto
Na wschodzie – gwiazdę, ratusz, siedem wież
Szli trzej królowie – w rozsypce, bez formy –
Widzieli w rynku święto, ktoś ich zbierał, mogli wejść.

Ziemia święta

Wybiera się na święto, coś do kogoś mówi
Do kolegiaty, katedry, zmieniają się lata
Jest się dzieckiem, starcem, droga wpada w ciemność
Ziemia trochę się trzęsie, wychodzi z niej tłum.

Jedzie się do świętego miasta, szuka przebaczenia
Win, w zgiełku, w złocistych kramach
Kupuje się serce, w drzwiach bierze krople na głowę
Gryzie się sumienie, klepie nad ławką pacierz
Gniecie lekki grzech.

Ktoś rozdziera zasłonę, wchodzi się do domu
Coraz wyżej i wyżej, pod żyrandol z gwiazd
Wszyscy siedzą za stołem
Ktoś nam daje znaki
Z odwrotnej strony świata
Dlatego, że jest.

„On będzie miasto”

W końcu staje się miastem – cierpliwie na wzgórzu
Otoczony mgłą znaków, tumultem proporców
Stara się powstrzymać chaos, zmusza do rozróżnień:
Już z daleka zaznacza przewagę kierunków pionowych
Gotyk okolic, porządek arkad, ulic
Proste reguły naw, nadrzecznych promenad i sklepień.

Gdyby chciał, mógłby zapewne stać się też ogrodem
Zamkniętym od strony zmierzchu, otwartym w głąb domu
Rodzajem wieczornej rozmowy i zwirową ścieżką, gdyby chciał
Mógłby stać się rzeką lub zamkiem ze zwodzoną bramą.

Jest naszym miastem. Na dziedzińcu
Ujęty w kamienne trakty, powiązany mostkami
Strumień coś mówi, na powrót ktoś opowiada tę historię
I można stać się częścią nowiny, rodzajem przesłania
Które powoli przesuwa się w cieniu
Pod wiatr.

Niektórzy sądzą, że tak naprawdę jest zupełnie prosty.
Jeśli się stoi akurat na skarpie, widać, jak wyznacza drogi:
Ze wszystkich stron biegną w pośpiechu, unoszą.
Dokądkolwiek byśmy nie poszli, jest zawsze u kresu
Gdziekolwiek byśmy się nie udali – będzie.

Kraków

*Przy krawężniku znalazłem muszelkę
i poczułem, że jestem trawiony*

Marcin Świetlicki

Jesteś miastem: dalekim, bliskim miejscem zamieszkania
I szron na oknach, ślad kredy nad drzwiami w mieszkaniach
Są Twoim czułym znakiem;
Przejrzysty szyfr śniegu, pismo mchów, porostów
Wzory przebiśniegów – wszystko to zakłęcia: tak, tak; nie, nie
Język zakochanych i płyną ulicami miarowe sylaby
Złoty sygnał słońca wydobywa hejnał, pod bramą
Przystaje ktoś, kto się przeżegnał i samą
Dłonią, ramieniem ogłasza narodziny świata.
Wyłączam budzik, wstaję
Za pięć ósma tramwaj.

Lecz słowo raz powiedziane, musi brzmieć do końca
Więc, jak co dzień, przekupki spośród róż tysięcy
Wybierają jedną, by ją dać Maryi Pannie. Jest chłodno.
W chłodnym zamku duszy Syn Boży na sianie
Podnosi rękę dotykając serca i czuję dreszcz, krew
Krzepnie, świat nagle ciemnieje, tak, wiem: z tego miejsca
Z choroby, która ziębi, grzeje, oddala i zabija będą ocalony.
W chłodnym zamku duszy Boży Syn, skrwawiony, oczyszcza
Wodą, wypala ropiejące rany, kręte krzywoprzysięstwa
Nieczyste zamiary. Powoli wstaję
Trzymając się muru kościoła. Przede mną fasada:
Zimowa ściana dnia. Odchodzę, upadam.

A przecież jesteś tym miastem. Tak, mieszkamy w Tobie –
Od Piasku po Kobierzyn, Swoszowice, Dąbie
Spięte żebrami mostów dzielnice są jak Twoje Ciało
(←

I Słowo, poprzez które wszystko, co się stało, trwa
I nie znika pośród śmieci, gnijących piszczeli – Święty
Święty świeci nad aureolą stacji paliw i burdeli, przenika
Wszystko, osiada na słupach ogłoszeń, w dziennikach, kładzie
Swą nowinę w ustach wysłannika, który nie wie, co mówi
Milczy, rozmawiając. Wśród obcych bogów
Tak, wśród nich mieszkamy w Tobie.
Jesteś wielką rybą i trawisz nas ogniem.

Łagiewniki 17/18.04.2004

Częstochowa

„Nie chciał, żebym go widziała
Zasłaniał świat farbą
Wszędzie spadała ciemność
Ktoś płakał przy drzwiach
W nocy znikaly rzeczy, gubiły się drogi
Nie było róży, jabłka, przepadł złoty stół.

To było jak sen niedobry
Patrzyłam na wzgórze: stał zamek
Wisłą płynęła smoła, padał czarny śnieg
Mrok wciąż oblepiał gwiazdy, wielkie, jasne miasta
Chciałam mu spojrzeć w oczy
Chciał zasłonić Twarz”.

9.12.2012



Alwernia

Wiosną Rozmowa jest jak lasy Umbrii,
Gdy lekko wspina się na szczyt la Verna –
Falując przypomina o ich tańcach
O zabawach na niebie, bo właśnie gra wiatr
I w zamku z piasku dzwonią święte dzwony.

Gdybyśmy chcieli, można ją odwiedzić
Tak jak się odwiedza skałę nad doliną –
Można wejść, lecz jeszcze lepiej jest w niej śpiewać –
Nosić do gniazda trawę, wzmacniać pokój z piór.

Kiedy to mówisz, przypomina Klare
Mamę, gdy pali w piecu, błogosławi wiatr
Żegna nas drewnem, wychodzi, przed domem
Zwołuje wszystkich, sypie złoty chleb

Jak liście brzozy. Wkrótce przyjdzie jesień
Jej słowa, pochylone, opadają z sił
Są jak przewoźnik, kiedy jedną ręką
Wskazuje dla nas miejsce
Drugą – chce odepchnąć prom.

Jest bardzo blisko, bo robi się ciemno
I woda coraz szybciej niesie nas na dno.

La Verna 2002/Alwernia 2012

Rozmowa

o. Wacławowi Oszajcy

Rozmowa jest jak podróż, jak szukanie miejsca –
W ruchu, w naszym domu, w środku historii;
Wciąż trzeba jej szukać, odchodzić, powracać
Jechać do Tomaszowa, mieć wszystkiego dość.

Wyruszać z Krasnobrodu, Zamościa, Tyszowiec
Wczesną wiosną nagle pozostawiać ślady
Jesienią poznać szlak
Wzdłuż działów wodnych
Przez zamęt unosić jej łagodny promień:
Złociste światło limfy, nurt krwi
W autobusach, na łódkach – nieskończony rytm.

Lub przeciwnie: ledwie zamknąwszy powieki
W chwili, która może okazać się wieczna
Poczuć jak niesie – niczym wielki, atlantycki wiatr:
Zawsze do wewnątrz.
Ruch bywa wtedy tańcem
Wędrownka – słuchaniem.
Wiele podróży ma taki charakter: muzyczny.

Dom

Być może jest domem i drzwi tej Rozmowy
Wychodzą wprost na ścieżkę z mleczami i chrzęstem
Lecz, kiedy mówisz do Niego, może być warownią:
Kamienną flanką ze strzelistym oknem
W którym mieści się miasto i sznurówka drogi.

Jej bramy mogą chronić, lecz nie zamykają.
Przeciwnie: wciąż się tu wchodzi i wychodzi.
Latem są świerszcze, wielki wóz i mleczna droga
Zimą zawieja, rój polarnych gwiazd.

Rozmawiając w ten sposób można więc czasami
Dojść do siebie, albo do jakiegoś miejsca.
Jeśli jest nim drewnitnia, trzeba wziąć siekiere.
Jeśli jednak trafimy pod wrota kaplicy
Należy wszystko zostawić przed progiem i wodą.

Zdarza się jednak, że nie przestając być domem,
Staje się płomieniem. Można przy nim
Ogrzać ręce przed długą podróżą. Pachnie dym.
Ktoś poprawia drewno. Jest noc i każde słowo
Może teraz stać się iskrą.

Miejsce

Rozmowa to miejsce zupełnie osobne
Jest nią dawna twierdza, na pewno łagodne
Płomienie wieży, ciemne ziarno wody
Barczyste bramy Zamościa, stugłowy
Styczniowy wiatr, przejrzysty wzór szronu
Ostre krzewy, zapomniane drzwi do domu.

Lecz jesienią może stawać się cierpliwą
Doliną Huczwy, a także wysoką dąbrową
Za polami tytoniu, pełną znaków, łagodną
Smugą wrzosowiska, wschodnim wzgórzem
Tam, gdzie zawsze zbieraliśmy rozchodnik
W połowie drogi do Zakrytej Studni.

Tymczasem jednak wciąż mamy pogodę.
Słowa nas opuszczają, wchodzą w głąb ogrodu.
Mama zrywa strąki fasoli, serca pomidorów
W garnku na kuchni czekają oskrobane
Ziemiaki, tutki porów i trzeba iść po wodę.
Nic nie zapowiada burzy, żadnych szturmów.

Przeciwnie: struga płynie do wiadra bardzo wolno.
Ze spokojem pulsuje we mnie jej milczący głos.

Brzmi jak wezwanie – zupełnie osobne, skierowane
Tylko i wyłącznie do mnie.

Oderwanie

A jednak nie powinna się zbyt odrywać
Od ziemi, zwłaszcza od traw
I od wędrownych dmuchawców
Opuszczać Siwej Doliny, tomaszowskich lasów
Byłoby dobrze, gdyby trzymała się wiatru.

Niektórzy sądzą nawet, że w samym środku
Powinna mieć strumień.
Że nad strumieniem powinien być mech
Jaszczurki w słońcu.
Zaraz za łąką powinna być
Piaszczysta droga z miedzą
Na której rosną krwawnik, bylica i rdest.
Gdybyśmy szli dalej
W którymś miejscu powinna być drewniana furтка
Na którą po deszczu wolno
Wspina się ślimak winniczek.
W głębi powinien być dom i ktoś, do kogo się idzie
W środku domu – pokój z dużym stołem
I cieniem. Na stole może leżeć książka.

Są jednak i tacy, którzy widzą w podobnej Rozmowie
Pewien rodzaj spichrza –
Z wielką bramą, przez którą wjeżdżają traktory ze zbożem.

Jest i wersja kameralna: domowa spiżarnia,
Z której w zimie podkrada się grzyby
Gruszki w occie, kompoty ze śliwek i sok.

Ktoś, kto rozmawia

Ktoś, kto rozmawia, ten, kto jest w środku
Kto jest ogrodem, miastem, zieloną kryjówką
Kogo można porównać do liściastej bramy
Do ścieżki *przez blade zboże*, do splątanych malin.

Ten, kto w nas mieszka, który nie jest nami
Jak nie są nami kolory nad rzeką
Piaszczyste koleiny, skrzypiące rozwory
Ten, który woła, ktoś, kto jest muzyką.

Którego głos jest czysty, kogo słyszeć rankiem
Kto mógłby stać się ptakiem, złotą linią wschodu,
Ten, który płynie, który wciąż przybywa
Ktoś, kto osłania, kto nie ma obwodu.

Miejsca czyste

Miejsca zupełnie czyste – lessowe wąwozy
Kiedy podnosi się rosa i słycać poranne rozmowy
Polne drogi, zioła, otwarte ogrody
Wieczne ognie, śpiewy, zapomniane domy.

Zawsze niespodziewanie: w środku historii
Która, jak się zdawało, była o czymś innym.
Nagle, jakby czekały tylko na nas:
Morena
Źródło w trawach
Cegielnia
Jezioro.

Zawsze te same, wciąż inne, ciągle w innym miejscu

Miejsca zupełnie czyste
Wody przezroczyste.

Ogród

Zapomniany ogród, w którym drobne ptaki
Budują gniazda, nasze dalekie wzniesienie
Łąka, która płynie przez białe obłoki
Gorzki zapach burzy, wieczorne milczenie.

Jest zawsze obok, jakby był bukowym lasem
Pełnym czarnych borówek i dalekich kroków
Wszędzie tak samo, już teraz na zawsze
Nigdy gdzie indziej, wciąż jest w samym środku.

Zdarza się, że boli, niepokoi, męczy
Jak ciemny wiatr, bywa najcięższym
Prochem na końcu palca, pyłem na języku
Ziarnem pod złym posłaniem, echem krzyku.

A także czymś łagodnym: dzieciństwem, skowronkiem
Podwodną pradoliną, opieką południa
Glinianą drogą do pola
Starym stawem, studnią.

Jest zieloną moreną, czeka u wrót dolin
W górach, pod szarym śniegiem, zawsze dookoła
Trwa złota noc, ktoś maluje światło
Anioły stoją na rodzinnych polach.

Stolica

Zmienić się, dbać o ogród – wiosną, mimo wszystko
Pod warstwą śmieci, błota, mierzwy i nawozu
Odnaleźć dawny wzór: zarysy grządek, ścieżek;
Zaufać temu, co proste, przejmować się mrozem.

W lecie zrywać maliny, w rozproszeniu liści
W leśnych labiryntach szukać wyraźnego znaku:
Kamieni, węży, gąsienic, świetlików, pajaków
Przypatrywać się liliom, śledzić drogi ptaków.

Jesienią kłaść się na wzgórzu, udawać korzenie
Słuchać jak dzwonią dzwony, wybijają dla nas
Takt: odchodzenia, powrotu, rytm, który ocala.
Milczeć, powoli stawać się stolicą Pana.

II

Inne góry



Kowaniec

To, co nas zmienia – jasny potok, woda
W żeliwnych rynnach, w iskrach
Rubinowych rowach
Podziemna rzeka, która nas nurtuje
Łagodzi głazy, kuje z wielkim trudem
Stal, mękę skaień, nieustannie toczy
Przez wioski, jary, krajobrazy, kraje
Odwrócone na drugą stronę
Inne, niepojęte.
To, co w nas tkwi – ta zadra
Wciąż dotyka, męczy
To, co zostaje, nie daje spokoju
Czuwa w kamieniach
Na skraju ogrodu
Na wielkiej grani, na granicy
Coś, co jest ciszą
Coś, co głośno krzyczy.

Pasterka

pamięci ks. Józefa Tischnera

Wszyscy już spali, w płytkich kolebkach dolin
Gaszono smutne ognie miast, ciemność tuliła
Do siebie szorstkie pola, długie, czarne drogi
Wolno znikwały ślady, zimny wiatr okrywał
Świat śniegiem – białym, śmiertelnym – chłodnym popiołem.
Nisko, w wąwozach stygł puls strumieni, lecz górą
Wciąż ktoś chodził, jak anioł wspinał się z mozołem
Na jodły, ostre skały, zbiegał granią, chmurą
Niecierpliwie na skrzydłach kręcił się w zamieci
Dmuchał w świstawki, tańczył, wołał coraz głośniej
Żebyśmy szli czym prędzej, by zobaczyć Dziecię
W pasterskiej kaplicy i chóry radosne.

Nie mogliśmy się zbudzić i *sen nieprzespany*
Twardy wciąż nas morzył, przytrzymywał w środku
Ziemi, wśród mysich korytarzy, pod świerkami
W kopcach, w wielkich kopałach mrowisk, w równym rządku
Przed piękną królową larw. To nie było łatwe:
Wyplatać się z miękkich, słodkich korzeni, z liści
Pachnących jesienią, ciemnym, mokrym wiatrem
Przedzierać się wciąż w górę, wierzyć, że się ziści
Cud – żli, grzebaliśmy się w dole, pod tabliczką
Śmiertelnego szlaku. Chcieliśmy być całością.
Wymęczeni, w rozsypce stanęliśmy blisko
Drzwi, lecz ktoś szedł i w jasny prowadził nas kościół.

Koliba

Szuka się domu, zielonej koliby
Każdego dnia, nocą, z okutymi drzwiami
Z gontowym dachem, z echem ukrytym w koronie
Czarnych jaworów, z dalekim wołaniem
Wśród śnieżnych łąk.

Tak, jakby nas zwabiała – wiatrem, ciepłem, blaskiem
Ciemnym obrzędem, świecą, mrocznym dymem –
W to miejsce: przy wiecznym ogniu
– śpiewnym, kolorowym –
W którym zawsze ktoś jest
I które jest czyścem.

Musi tu być – o, tak! Jest na pewno
Na Jaworzynie, przy Zbójeckiej Jamie
Na listku szronu, w gniazdku, okruszynie śniegu
Sama jedna na czubku szpilki
Zamiast złego.

Widok ze Sralówek do doliny ucichłej

Boże, jak tam jest cicho –
Z drugiej strony góry
W nocy, w śnieżnej dolinie
Która nie ma miejsca

W szalasach na szpilkach szronu
W schroniskach na soplach
W miastach na czubkach świerków
W krainach na jodłach

W domach, które stały się ogniem
Drobnym, rozproszonym
Zgubionym w świetle
W samym środku światła

Wszędzie i nigdzie
W wielkiej tajemnicy
W zmarzniętych trawach
W srebrnych źdźbłach koniczyn.

Jak tam spokojnie –
Wolno idą chmury
Ktoś je popycha kijem
Gra na listku;
Pod lodem rzeka
Modli się za nami
Po niebie płyną złote ryby
Jak święci
Parami.

Cień

*W drodze na Kudłoń, w skał zwaliskach
Gdzie drzemią stawy, w borówczyskach
Chwyćcie nas krzewy dzikiej róży
Nad przepaściami chrońcie w burzach
Wstrzymajcie męką, nie pozwólcie
Byśmy zginęli, wciąż się módlcie.*

*Ciennie tarniny, czułe zadry
Przebijcie nasze serca twarde
Wzywajcie nas przez lzy czerwone
Przez smutne liście, mgieł zasłonę
Przez granie, żleby, ostry granit
Otwórzcie nasze skryte rany.*

*Sędziwe świerki, dobre jodły
Leczcie nas z lęku dżdzem łagodnym
Zorane boki, krwawe potoki
*Wynieścież nas nad obłoki.**

Anioły

Krzysztofowi Kuczkowskiemu

W grudniu mkną w srebrnych szronach
W przejrzystych nieboskłonach
Biegną po ciemnych gwiazdach
Liczą uśpione miasta.

Na porzuconych polach
Zbierają w maju pstre zioła
Leżą w pachnących miedzach
Liczą śpiące osiedla.

W lipcu, w porannym chłodzie
Cicho chodzą po wodzie
Na brzegu chmury słodkiej
Liczą drzemiące opłotki.

We wrześniu w wielkim oknie
Grają nocą w dwa ognie
Bawią się w domu księżycem
Liczą senne ulice.

W listopadzie u Pana
Siadają na kolanach
I w Jego dłoniach zmęczonych
Chowają obudzonych.

Sykstyna. Kulig

Na czym kto ma – na mgłach, obłokach
W złocistych szronach, wirach, trąbach
W białiznie, nago, tyłkiem świecąc
Lecimy w zimie w dal przedwieczną

Wciąż coraz szybciej, Boży kulig
Rwie, dzwoni, niesie ponad góry
I nie jest łatwo – na zakręcie
Wypada dziadek jak nieszczęście
Dobrze, że ktoś, kto w chmurach tańczył
Chwyił go prędko na różańcu
W ostatniej chwili już na brzegu
Ochłani złapał na szkaplerzu
Wuja Romana i dwie siostry
W pogoni, która się nie kończy

Przeciwnie – jazda coraz większa
Na Sądny Dzień, na gwiazdach, tęczach
W dziuplach, roztokach, wiecznych śniegach
Po łąkach, których nigdzie nie ma
Mkniemy, śpiewając – żywi, zmarli
Niepostrzeżenie, niewidzialni
Mocno trzymamy się za ręce
By nikt nie zginął, wszyscy święci
Suną nad nami, wciąż czuwają
Bo sanki szarpią, to znów stają
I Pan podnosi rękę wielką
Jakby się kijkiem chciał odepchnąć.

Noc

Beacie

Zostań, czuwajmy – płonie ogień
W sykim listowiu, w szklistym szronie
Nadchodzi słodka noc, nuci w powojach
Schyla się ciężki cień w altanie, w winogronach
Szeleści w ostach, wciąż opada
Szara szadz światła, kładzie, składa
Na skraju sennej studni swój blask – coraz głębiej.
Dudni jak echo, jak niepewne
Wołanie w wielkich górach, wiatr, jak dobra woda
Szlachetny, święty szmer, miarowa mowa...

Musimy zostać, idzie ciemność –
W tym, a nie innym miejscu, zawsze wewnątrz
W kryjówce, w państwie pod wykrotem
W monarchii much, nad lichym knotem
Świecek, w ratuszu, w samym środku świata
W norce pod progiem, w królewskich komnatach
Kreta – tam, gdzie nikogo nie ma i dokąd
Wciąż idzie ktoś, kto chce dziś spocząć.

Sen

Asi Kolesińskiej

„To nie jest sen – z gałęzi spada rosa
Na płocie skrzeczą sroki, wstań i zobacz:
Pomiędzy domy drogą pełną kurzu
Ktoś nagle wpada, mknie bez trudu
Aż po horyzont, krąży wokół
Chce płasać, tańczyć
Uczy kroków i choć wciąż śpimy, nie ustaje
Szepcze do ucha, śpiewa w ścianie
Huczy w kominie, stuka obcasami – w bruk
W chodnik, w deski, skrzypi drzwiami.

W pościeli, w mroku, gdy nas znajdzie,
Porywa w rytmie, w sennej sannie
Każe się trzymać, wciąż przyspiesza
Ciągłe przemienia, lecz, czeka
W tym samym miejscu – w słońcach, w znakach
I chce nas nieść na koniec świata”.

List od mamy (I)

„Wiem, ja też cię szukałam, siadałam na brzegu
Płynęły długie obłoki, malowałam wzory
W jasnych ziarenkach piasku, każde było inne
Chciałam, żeby wołała ziemia
Mówił za mnie proch.

Wołał, żebym płynęła, rzucałam chleb mewom
Musiałam przejść przez wodę, nie mogłam się oprzeć:
Żadna nie odleciała głodna; czekała mnie podróż
Na samo dno, coraz wyżej, straciłam je z oczu.

On był ukryty w głębi, musiałam się zmienić
Niczego nie zatrzymywać, wierzyć, dać się ponieść
Jak wiatr. *On nie ma barwy. Ten, kto go chce malować
Musi stawać się światłem – błyskiem na wodnych drogach*”.

List od mamy (II)

„Mogłam się w niej przeglądać, malowałam oczy
W świetlistej wodzie – cienie, kreski powiek
W zwierciadle, potem rzęsy, pytać o to samo:
- Kim jestem?
- Tym, kim będziesz.
- Kto to widzi?
- Ja.

W tle wiała się zwykła droga
Uciekał horyzont: koniczyny, dziurawce
Wielkie buki, czas, małe czarne wzgórza
Kończyło się miasto. Nad nim długie obłoki
Zbiegały się w punkt”.

Żal

Mieliśmy iść na Gorce, lecz w środku drogi
Chwycił nas deszcz – zatrzymał w nocy srogiej
Dusznej szeleścił, szeptał, szył, namawiał szumem
Chował w szałasach, okrywał całunem
Mchów, porywał nagle w wichrze krętym
W lotne obłoki, okrągłe odmęty
W szalonym graniu, w tańcu, w fujawicy
W dziurawcach, rdestach, w złotych błyskawicach
Mieszał nas z trawą, z błotem, pstrym poszyciem
Wodził, oczyszczał, nęcił, szeptał skrycie
Że w jednej chwili, nie wiadomo kiedy
Zabierze nas do siebie, wyrwie z ziemi...

Wyraźnie tracił głowę, zaplątany
Chyba nas mylił z kimś innym, strugami
Płynęły ciężkie wody pod Turbaczem
I płynął po nas deszcz, który był płaczem.

Czekanie

pamięci Marka

Na Obidowcu, na Kiczorze
Nigdzie nas nie było
Pod kępą macierzanki
W lasach żywokostów
W borówkach, na mojkach
W bukowinach cudnych
W widłakach, w paprotnikach
Pod księżycem huby.

Płynęły chmury. Nagle nas zabrakło
Został pluszcz na kamyku
W trzepocie potoku
W tym dziwnym miejscu
Pełnym wiecznej troski
Jak gdyby z drugiej strony
W samym środku wiosny.

Tam skąd się przychodzi
Gdzie znikają lody
W słońcu nad pustym borem
Suchym Groniem, wśród jarzębin
Wciąż lecą pszczoły złotym hucznym rojem
Pachną modrzewie. Coś się święci.

Duch

pamięci Jana Pawła II

Czerwony ogień, który ciągle płonie – przed zmierzchem
Snem w srebrnej koronie sosny
W omiegach na Groniu – w wielkim milczeniu
W trawie, w opuszczonym domu. Ukryty żar

Który nas zmienia – zawsze w środku
W wełniankach, w podcieniach ogromnych ostów
Nocą w Ochotnicy, wśród wiatrołomów
W miotłach ciemżycy. Mała iskierka

Zagubiona w borach – uśpiona w dziuplach
W pieczarach, w popiołach dawnych ognisk
Przysypana pyłem, głownia gorąca
Otoczona dymem – potężna, ciągle większa

I większa, bo wciąż chce rozpalać
Zapaść, zamieszkać na dobre na halach
Na samej górze, w krainie na brzegach – ciągle nas łączyć
Ciągle nas rozdzielać.

Przebudzenie

Mogły nas zbudzić zielone dziecioty
Cytrynowe wilgi, czarniawe gawrony
Jakiś drobiazg, cokolwiek – sowa, szelest, rosa
W śmiertelnej ściółce, w zimowych wąwozach
W twardej pościeli, w ciężkim białym puchu
Zajętych snami, wśród mrocznych mar, w ruchu
Który nie dawał ulgi, jakby był błędzeniem
Mógł nas obudzić ogień, mogły długie cienie
Dymu, najłżejsze szepty, zwykłe prośby
Igiełki świerków, świeczki, zorze mroźne
Bo wciąż za nami ktoś mówił
Szeptał z drugiej strony
Jeszcze mogliśmy się odwrócić
Na Wierchu Spalonym
Dawał sygnały chorągiewką chmury
Obiecywał ogrody, nowe ziemie, góry
Mogliśmy jeszcze zmienić wszystko
W psiarkach, w paprociach na Solnisku.

Spowiedź

To nie był śnieg, lecz wielki spokój
Na Wyszni, w olchach, wśród wykrotów
Wolno szła mgła – ogromna ulga
Spływała w dół, w dolinach, w studniach
Bez dna, bez łez, żal nas ogarniał
Niewysłowny – milczał, targał
Bez słów, wciąż ginął, znów wybuchał
Nie był to mrok, lecz straszna skrucha
Ktoś palił ogień na Dermowej
To nie był grom, lecz długa spowiedź
W Łopusznej pod tęczowym mostem
W kaczeńcach, w gólkach, w głazach ostrych
Znów nas zatrzymał wiatr-szaleniec
To nie był deszcz, lecz przebaczenie.

Idzie dysc

Idzie dysc, idzie woda, wciąż się staje
Czymś innym: listkiem cierpkiego szczawiu
Rabarbarem, podbiałem, mleczem, skorusyną
Modrzewiem, wierzbą, bzem, wiechliną
Jak gdyby wszystko chciał przemienić
Migoce nocą wśród kamieni
Mógłby powrócić w białe chmury, ale zostaje
Poi sznury dzikich łabędzi, owiec srebrnych
Uwija się, dopóki nie napelni ziemi.

Idzie dysc, idzie wielka zawierucha
Szumi jak płacz, jak łyż Chrystusa
Nad miastem, w ziemi wciąż trwa łaska
Pali gromnice, dudni w dzwonach, w basztach
Woła w ruinach mgła obrotna
Stuka w grób, w drzwi zamknięte, w okna.

Sromowce

Tak, to jest bagno, pod nami jest przepaść
Trzymamy się jakoś w łupinie orzecha
Splatają się dłonie, długie czułki, pióra
Witki, szczypczyki, łamliwe odnóża

Łączą w mistyczny Kościół nasze drobne kości
Misterne ssawki, dzioby, zakręcone włoski
Tuż nad otchłanią dają jasny znak pokoju
Wszystkim, którzy są na dnie: pożeraczom gnoju

Pantofelkom, złośliwym rakom, próżnym stułbiom
Chytrym szczeżujom, gnidom niosą światłość cudną
Ślimakom zrobionym w trąbę, zwykłym bubkom
Larwom, spleśniałym glonom przekazują ufność

Tak, to bajoro, nurt porusza miłość
Cisza pod nami, noc, która jest siłą
Na wodorostach płyną wielkie miasta
A ponad nimi niebieska rozgwiezda.

Stare Maniowy

Niebieskie wody, wysokie, bez końca
Podwodne lasy głębokie z kotliną
Słodkich liści, jagód i pachnących grzybów
Miasta, których nie widać, które ciągle płyną

Nic, co można by zachować, tylko zaufanie
Nic z tego, czego można się trzymać, tylko drobne fale
Ryby, jak opiekuńcze duchy oświetlają ciemność
Niosą nas lekko w noc bezbrzeżną
Wśród zapomnianych ulic, miejsc, które się zdają –
Umarłych sadów, domów, które wciąż się stają
Czymś więcej; pośród krętych wirów, strasznej zawieruchy
Wpadają w wąwóz, grają dzwoneczkami z muszli
Jakby dawały komuś znak: w ciszy, w milczeniu
Przystają zatrzymane w wielkim odpocznieniu
Na samym skraju. Już dzień. Szumi głęboka polana
Niedzica. Kładą nas wolno na lipowych marach
Leniwie przeciągamy się, drapiemy, spoglądamy w górę
Na obłok, który może być potworem, na wysoką chmurę
Która, być może, jest ratunkiem i zniża się dla nas
Jak deszcz, jak zwinne sieci Pana.

Robotnicy

Każdego rana
Ciągnęliśmy po kamiennej ścieżce
Ciężkie żdźbła, zjadaliśmy cuchnące
Resztki, trujące okruszki, pyłki
Marzyliśmy, budując mosty
Z sosnowych szpilek, z suchych
Patyczków, z kory
Wielkie schronienia.

W południe niektórzy zamierali
Pod ziemią na jakiś czas, a potem
Znów ścigaliśmy się zawzięcie
Tocząc przed sobą nasz dumny skarb
Wspaniałą kulę łajna
Do domu.

Ale wieczorami służyliśmy tylko im
Srebrnym świetlikom, duchom
Tylko dla nich otwieraliśmy skrzydła.

Marnotrawny

Z gniazdek, z pustych orzechów
Z liści, z czarnych grzybów
Wolno z leniwych malin
Ospale buczyną

Z mrowisk wielkich jak miasta
Z podziemnych gospodarstw
Na brzuchu, na kolanach
Z dziur, na chwiejnych nogach

W brązowym pancerzyku
Z grobu, z morowego sadu
Z drzewa, z wiszącym ptaszkiem
Głową na dół

Z dalekich dolin do domu
Z duszą na ramieniu
Ciężką jak złoty księżyc
Jak drogie kamienie.

Duchy (I)

Tu i jeszcze gdzieś indziej
Latem na Lubaniu
W przestronnych kłęczach skrzypów
W miękkich sercach jaskrów

W parzydłach, złotowłosach
Nocą na polanach
W pustych szałasach, w gniazdach
W podziemnych koszarach

Każdy z czymś innym – z różą
Złotym kółkiem w głowie
Z zieloną lilią, z czaszką
Z lekkim fiołkiem, z koniem

W długich nazwach, w prośbach
Wciąż tak, jak w powietrzu
W dolinie, w dawnych domach
Zawsze w samym wnętrzu

Tam, gdzie się milczy, woła
Cuci wodą żywą
Pełno ich dookoła
Jakoby nikogo nie było.

Duchy (II)

Są w baniorach, strugach, dokąd idą śniegi
Blisko, jak najbliżej, tuż pod ciemną korą
Z samego rana, tak by było słyszeć
Dzwonienie sasanek
I świstunkę, gdy niesie wysoko swój skarb
Na wyciągnięcie ręki.

Zazwyczaj niepostrzeżenie:
Na wielkim liściu babki, który stał się statkiem
Na brzegu wody, mgły, złotego lipca
Kiedy znikają cienie i w znakach błyskawic
Nagle nabiega ciemność
W samym środku.

Tuż obok –
Wśród słonecznych wędrowców, na skrzydełkach klonów
Na końcu trawy, mchu, babiego lata
Zawsze gdzie indziej.

Zbierzcie się, zbierzcie się wszyscy
Wołajcie, wołajcie, by przyszli.

Tam

Są prawie wszyscy: z tamtej strony góry
Za modrzewiowym lasem, w srebrnych strągach
Jak owce, wełniste chmury, kłębiaste cietrzewie
Łagodny ogień, szorstki, czuły wiatr
Na mokrym niebie.

Ciągle chodzą, śpiewają, niełatwo ich spotkać
Znikają za drzewami w wielkich ziołoroślach
W białych dolinach, wśród mgieł
W świątecznych domach – na samym brzegu
W błyszczących koronach.

Zawsze jakby zdziwienie: patrzą, otulają dymem
Podsuwają miseczki z wodą, rzucają okruchy
Lodu. Nocami zapalają świece knotami do dołu

Przesuwają doniczki, poprawiają kwiaty
W długie noce zimowe plotą wieńce bogate
Do końca nad głowami
Gdy umieramy.

Mama

Zapomniana kryjówka, wciąż trzeba jej szukać
W pośpiechu, w górach, w śladach
W złotych trawach; ciągle się zmieniać
W przejrzystych strumieniach, nigdy do końca
Zawsze jest ucieczką.

W różach, w buczynach ktoś ją wciąż ukrywa
W łaskawych zamkach, wiernych lipach
W jarzębinach. Trwa jak warowne miasto
Ktoś ją wciąż ochrania – w czarnych bzach
W grotach, w twardych skałach.

Jest jasnym źródłem, zamkniętym ogrodem
W samym środku świata
Naszym dawnym domem
Nie można jej zatrzymać, jakby była bramą
Za każdym razem inna
Jest gwiazdą zaranną.

Ciągle w tym samym miejscu, zawsze w długiej drodze
Na Jaworzynie, w białej wieży Bulandowej
Zapala się w ciemnościach, nieci iskrę srebrną
I biegnie prędko, nieustannie wewnątrz.

Kopia Górka

pamięci ks. Franciszka Blachnickiego

Czerwiec. Krościenko. Szepcze srebrny Cedron
Nocą po Gorcach szumią o czymś deszcze
Trwa namiot spotkań, drozdy wiją gniazdo
W zielonych cieniach. Nie odjeżdżaj jeszcze.

Już późno, jesień schodzi z Radziejowej
W długie doliny, coś mówi w obłokach
We mgle na polach – znów staje się wieczność
Niepostrzeżenie. Zostań chwilę chociaż.

Gdzieś tu, pod śniegiem musi być Wieczernik
Z kuźni na wzgórzu lecą drzazgi złota
Prosto na drogę i palą się w oknach
Nie odchodź, dzień się już nachylił – popatrz.

Znów w Wielkiej Nocy Ktoś odmienia życie
Zbliża się cisza, Ktoś wędruje w świetle
Błyszcz lśni jak Tabor, budzą się zawilce
Czemu Cię nie ma, chociaż ciągle jesteś?

Szlak

Jeśli wybrać źródło, szło się po stopniach mroku

Zbigniew Herbert

Nie była to zwykła droga – kręta, kamienista
Z dzikim czosnkiem, rdestem, kolorami ochry
W gęstych borówkach, psiarkach, z drozdem i obłokiem
Pomiędzy bukami, przysypana liśćmi.

Nie był to szlak utarty, ciągle w innym miejscu
Niż powinien: w ściółce, z drugiej strony lasu
Za wodą, za zieloną skałą, zimnym źródłem
Otoczony zapachem mgły, ustronny
Ukryty.

Zawsze przed nami – pod dachem dmuchawców
W chaszczach chabrów – jakby błędzenie
Nie zostawiało śladów, jakby deszcz czterdziestodniowy
Za każdym razem wszystko zmywał
I chował się w górze.

Pelziliśmy wciąż od nowa – górą, doliną, górą
Wśród czarnych chrząszczy, mrówek, wielkich świerszczy
Tam, gdzie było najjaśniej, gdzie wśród mrocznych gęstw
Coś świeciło. Zawsze po raz pierwszy.

Tymianek

Zawsze czekać, powracać, wciąż być niedaleko
Na samym brzegu z widokiem na rzekę
I czarne wierzy, trzepot dzikich kaczek
Na skraju lustra, nieopodal miasta

W wielkim domu za ścianą pełną dawnych głosów
W milczącym oknie, za którym otwiera się ogród
I krążą ciężkie ważki, mosiężne chrabąszcze
Tuż nad ziemią, jesienią, przy ścieżce na cmentarz

W soplach, przezczystych wieżach – złotych, dawidowych
W zimnych ogniach, purpurach, w ciepłym świetle śniegu
W środku zimy, pod lasem, na granicy cienia
W skrzypiącej szędzielinie, ciągle bardzo blisko

Nad Pucułowskim Stawkiem, na zielonej skarpie
W wąskich przesmykach, nad starym szałasem
Wciąż chodzić w miejscu, krążyć wokół rany
Do czarnej ziemi przykładać tymianek.

Jamna

pamięci Kostka

W Jamnej Dunajec był Jordanem
Szumiała jesień – w lasach pomieszane
Drzewa stały podobne do aniołów
Za nimi Ktoś, kto Bramą był Ogrodu
Czekał w splątanych liściach, szeptał
Świecił niepewną iskrą huby, dreptał
W prawo, to znowu w lewo, wciąż powracał
Ze wszystkich stron i z żadnej z nich, otaczał
Dymem, wiankami z ziół, trawy muzyką
Unosił się w obłokach, biegł w strumyku,
Padał wraz z deszczem, wędrował z kroplami
Wpadał do środka, pozostawał z nami
Do samej skarpy, dalej – do urwiska
Niósł przez zieloną wodę, przez ogniska
Ostrożnie kładł na srebrnych kopach siana
Poił pachnącym winem, opowiadał –
W Jamnej jedliśmy chleb i ryby z Panem
Na drugim końcu świata, nad Jordanem.

Cuda, wianki

Wreszcie uwierzyć, dać się ponieść
W tymotkach, w mchach na drugą stronę
W skrzypcach, na basach, w odpocznieniu
W turzycach, jaskrach na Jasieniu
Wytańczyć w wiankach, ostach, ziołach
W ostrych jedlinach, jasnych szronach
Odplwać wpływ lub na okręcie
Z olchowej kory, na pajęczej
Nitce, na mleczu, tak jak oddech
Płynąć nad mgłą – przez wody chłodne
Przezyste, sunąć w lekkiej trumnie
W płomykach, w smugach, w blasku cudnym
Do góry brzuchem, patrzeć w niebo
Liczyć obłoki, płatki śniegu
Sarny na skałach, nic nie mówić
Słuchać jak cichną cienie długie
Podobne do skrzydlatych duchów
W podziemnych gniazdach, dziuplach głuchych
Zostać na chwilę w kwiatach, wstążkach
Nareszcie zmienić się do końca.

III

Kogo brak



Z Rilkego (fragment)

Kocha się Ojca? – Czy raczej wypada
Gdy nas opuszcza, z jego pustych dłoni
Jak kamień? Czy się nie odkłada
Dzień za dniem, cicho jego słów zmęczonych
Do kufra – między baśnie zakurzone?

Jak rzeki z działu wód, z gór, z jego serca
Wypływa los: cierpienie, miłość
Czy Ojciec musi zostać tylko tym, co było?
Spłowieła barwą? Czymś, o czym się nie pamięta?
Gestem, zapachem ubrań, pomarszczoną ręką?

Bohater naszych dawnych opowiadań
Zmienia się: gdy dorastamy, jak liść spada.

Woda

Jak deszcz, jak wieczór, liść
Który opada – ktoś, kto chce zostać
W jesiennych litaniach
Wsuwać się w ziemię, w zimie
Wciąż do wewnątrz
Aż do korzeni, iść przez ciemność

Spoczywać, drążyć, nie ustawać
Bez ruchu, prędko
W głuchych korytarzach – jak czarne ziarno
Mieszać ciężkie mady, zmieniać kamienie
Budować osady.
Na giętkich kłęczach wznosić stare miasta
Na pniach, łodygach – dworce
Lotniska na chwastach.

Kim jest ten, który jest
Jak szmer codzienny
Jak krople w oknie
Ruchliwy-niezmienny?

Ogień

Jak szept uparty, gdy przychodzi
Słota, skrada się, zmienia
W ruchliwych pochodach; wpada przez szpary
Gwizdże pod oknami
Wybiega, wraca, znika
Przepada w piwnicach
Chowa się w spiżarniach, kominach
Na strychach.

Dręczy jak wyliczanka
Księga zapieczętowana kurzem
Sama jedna – milcząca
Na najwyższej z półek
Wśród dawnych skarbów: w pleśni
W złotych pajęczynach, w szlachetnej szacie mchów
W zielonych grzybach.

Nocna wichuro, błysku w ciemnych wodach
W czarnych kaplicach, w śmiertelnych ogrodach;
Wieczny Wyrzucie
Zostawiłeś ślad.

Jesteś jak żar, jak ogień
Który nam z nieba spadł.

Wiatr

Nie można Go zobaczyć – w ruchu
Nie tu, dookoła
W znikaniu, w drodze
W wierceniu się kurzu

Słuchać w deszczowej rynnie
Między dachówkami
Senny szept w ścianie
Szpara w szarym murze.

Nie pozwala się chwytać, zamykać, rozumieć
Wywołać z ognia, z grobu
Z czarnych dziur, z powietrza

Nasz Ojciec – który jest
Którego nie mamy

Trochę jak dzieci.

Ziemia

Może jest w ziemi, zamknięty w modrzewiach
Bezbronny w bukach, słodki w środku klonu
Pod wiankiem świerku, może pod liliami
Jest jego skrytka, może na cmentarzu.

Może jest szeptem, może Niesłuchanym
Wiatrem w kominie, może schodzi w chmurach
Zostawia w sieni ślady, pod okapem – ogień
Może tu wraca, może nam nie umarł.

Może się czasem śni, może wciąż stuka
Kopie pod nami dołki, kładzie fundamenty
W ciemności, w ziemi wznosi miasto złote
Wypala glinę – wielki Pan, nasz Ojciec.

To

Mówiłem do Niego z ziemi, z gliny
Z mułu, z czarnych ziaren, z trawy
Nisko, z korzeni
Z bólu: to „ja”.

On był jak reszta, ostatnia część
Zgubiony kamyk – w porę
Zawsze nie w porę, czczony-zapomniany
Na samym dnie
To, co pozostaje
Ten szorstki osad, zgrzyt, ten błysk
To zaufanie.

To: tak, nie, tak; ten takt, niepewność
Śmiertelny ogród – ta wzajemność
Pałą się kwiaty, całe życie w ogniach
Światło w środku świata
To „jestem”, to: „zostań”.



Glina

Na początku bez formy – przypominał glinę
Na wzgórzach stały ugry, lasy z plasteliny
Nad nimi straszne sępie, mroczne chmury z ciasta
W dole piaskowa wioska i żwirowe miasto.

Od wschodu zielone bagna, pośrodku – ostrów
Mech na brzegach, w gałęziach świeże kwiaty z wosku
Wśród flauszowych zarośli, wzdłuż jedwabnej strugi
Trochę przytulnych ptaków, kilku miękkich ludzi.

Wciąż można było coś zrobić: dodać drogę z włóczki
Przesunąć szmaciane błota, osuszyć ogródki
Z mąki zbudować kościół, z cynamonu – klasztor
Z czarnego pieprzu – faktorię, z ciemnej masy – państwo.

Nie był jeszcze zbyt twardy. Zbliżała się próba
Szedł ogień, nad nim ciemna smuga
Nocy. Potrzebne było tylko to: zdecydowanie
Nie musiałem Cię słuchać. Nie mogłeś mnie zawieść.

Gwiazdy

Pamiętasz, czasem w polu paliliśmy ogień
Zaraz powstawał świat –
Ruch: rój planet, gonitwa, wschody i zachody
Pory roku, mijanie, zapalczywe kręgi
Znaczenia w kropkach światła; losy skryte w niebie.

Wcale nie taki duży. Zaraz za nim – otchłań
Oddzielenie bez granic: czarne krzaki malin
Mroczne gąszcze leszczyny, nieprzebyte lasy
Albo cierpliwość – strumień, gorzkie zioła, czyściec.

Nieskończony, w rozpadzie: ómy, komary, muchy
Nabzdyczone, kąśliwe, niezdarne, jęczące
Czasami mnie drażniły, lecz wołałem litość:
Ratunek spalonych, zbieranie upadłych
Gwiazd – do kubka. Żebyś mógł je wskrzesić.

Szklarnia

Na granicy ogrodu, całkiem niepodobny
Z własnym, kruchym niebem, wodą nad sklepieniem
Lekko spłaszczoną ziemią, niemal przezroczysty
Świat na podstawie gnoju
Jeszcze ciepły.

Jeden z możliwych – w środku była dżungla
W lianach spały lemury, pawie, pomidory
Prężyły się bakłażany, czyhały ogórki
Grasował dziki powój, mnożyły się mszyce.

Za drzewami papryki pojawiał się wulkan.
Mieszkał w nim Czarny Piotruś i jego plemiona
Szarzy ludzie o spiczastych uszach
Jacyś biali, zwinięci w kulkę, bardzo duże glisty.

Cóż mieliśmy począć? Musieliśmy słuchać:
Zsyłać konewką deszcze, bronić od zarazy
Potępiać gąsienice, oświecać zielonych
Chuchać na zimne, biegać jak z pęcherzem.

Dzień w dzień przez cały sezon.

Czy też Ci się śniło, że tam zostajesz?
Że schodzisz do piekieł
Między czarne larwy, stonogi, chrząszcze
Stajesz się jak oni – nieosłonięty –
I że Cię zjadają?

Wódz

Nielatwo było Cię słuchać
Wodzu w papierowej czapce
Rano wyruszać w pole
Wozić w czarnej kance
Śliwkowy kompot; w skrzynce – klucze
Plandeki, dwie bułki w kruszonce
Złudzenia, szpadel, młotki
Motyki na słońce.

Nie było lekko, zwykle było ciężko
Rozstawać się z marzeniami, z światem
Wlec powolną ścieżką
Na wojnę z podstępny diablem
Skrytym pod postacią perzu
W naszych burakach.

Pamiętasz, rycerzu, jak kiedyś wieczorem
Wydarliśmy mu całą ziemię
Zagon za zagonem?

Ogród klasyków

Granicę zmysłów wyznaczają wiśnie
Za nim koniec: dziczące jabłonie
Podstępne jaskry, wrogie kresy ostów
Rubieże lebiód, złośliwe łopuchy
Splątane zioła, ciemny chaos chwastów
Straszny bór pokrzyw, przed którym bezradny
Cofał się język.

Jaką pociechę niósł prostokąt grządek
Rozumne odległości, oswojone marchwie
Piękna swoboda umysłu, pierwiastki szczypiorków
Skrócone wzory mnożenia, zakopane w ziemi!

Jak wielką ulgę pszczoły – beztroskie bzykanie
Mądra polityka grochu – trzymanie się silnych
Wspaniałe imperia mrówek, wielki wyścig szczurów
Drapieżne instalacje krzyżaka, głośne happeningi bąków!

Był, jaki był
Bez Ojca, ogrodzony płotem
Z szorstką, kamienną ścieżką,
Mogło się wydawać
Że nie ma wyjścia
Że mieści się w głowie
Że jest skończony

Zanim jeszcze umarł.

Przemilczenia

Czego Ci wtedy nie mówiłem – na pewno poezji
Osi wszechświata, najnowszego miasta
Dwunastu czarnych żuków, tęczowych zwiadowców
Wyniosłej kupy gnoju z widokiem na cmentarz.

Tych wszystkich poselstw – szarych eminencji
Podchodów pleśni, skradania się piwnic
Pazia królowej, który ciągle przypominał larwę
Smutnego świetlika, który chciał być chrząszczem.

Tego zbliżania się, czasu, rozkładania potraw
Nagłego odchodzenia gazów, tworzenia się gleby
Naszego ogrodu z czarną rzepą, z padliną w środku
Błyszczącej gwiazdy Wenus, która wyszła z muszli.

Ogród kabalistów

Zmieścić świat w jednym miejscu
W sadzie, w dziwnym drzewie
W ogrodzie, w gospodarstwie
W lekkim tańcu, w śpiewie: siedem okręgów burzy
Oczy wszechwiedzące
Czternaście złotych jezior
Czarne bagno, słońce.

To światło ma znaczenie
Znaki skryto w ziemi –
W liściach, w węzłach, w zaroślach
W opowieściach, w drzeniu.

Dwadzieścia osiem sylab –
Wpędzać Go do grobu, potem
Chłód, krzyk, trzask bramy
Stukot kroków, podróż.

Czterdzieści dziewięć – bez końca
Przypominać sobie
Ten rytm, to podobieństwo
Do Ojca – podstawianie wzoru.

Nadchodzi nagły obrót, ciemność
Jakby czekał w niebie
To śnieżne światło łąki:
Siedemdziesiąt siedem.

Żegnanie

pamięci taty

Musisz tu zostać, wschodzi czarne ziarno
W korzeniach płynie rzeka, w liściach – światło.
W jodłowych wiankach, srebrnych kwiatach rośnie ogień.
Ziemia jest teraz ciepła; jesteś prochem.

Nic nie móc, milczeć, błędzić, nie ustawać
Być w czyichś rękach, unosić dookoła
Świata, zniżać się, troszczyć, nie móc odejść
Ziemia jest teraz ciszą; woda – głodem.

17 marca 2009

List (I)

„Teraz śpię – długo, w świerkach
Usypiam w szarym szronie
W gwiazdach, w ziarnach pod ziemią
Szron to Jego oddech.

Wciąż śpię
Ciągłe gdzie indziej
To może być kościół: unoszenie się, szelest
Echa tamtych rozmów.

Ich płomień jest oddechem
To może być ogród: czerwona ściana nocy
Czarne zamki grobów.

*Są trzy rodzaj snu – gdy nas zabiera ogień,
Kiedy porywa wiatr; kiedy zamyka w sobie”.*

List (II)

„Dziś pracowałem przy klombie, w środku była róża
Ogród zmieniał kolory, deszcz zmieniał się w słońce
Niepodobne do siebie z drzew spadały krople
Zawsze gdzie indziej.
Ktoś wracał po tęczowym moście.

Przypominałem sobie, że wyszedłem z ziemi
Z szukania, oddzielenia, wytyczania granic
Ja i nie ja, podlewałem trawnik
Wszędzie leżało światło
Z nieba schodził ogień.

Tak, była w samym środku, wokoło był ogród
Jakby ktoś na nas patrzył, drzwi były otwarte
Mogła o tym nie wiedzieć: *róża jest kwitnieniem*
W kwiatach nie ma 'dlaczego?' w róży nie ma siebie”.

Z Rilkego (II)

Jego troskliwość jest jak kamień
Jak kamień toczy się wołanie
Spada lawina, ciężkie morze
Słyszeć ją, słuchać, dać się ponieść?

Dręczący dramat: trwa rozmowa
Wciąż nazbyt głośna, giną słowa
Zostają formy, puste usta
Znikliwe zgłoski, dźwięki-truchła.

Nagle stajemy się kimś obcym
Z naszą miłością, żarem gorzkim
Jak gdyby śladem jego życia
Była śmierć – otchłań, ciemność, zgliszcza.

Jest naszym Ojcem – nawet nazwa
Nas dzieli. Chciałbym Cię nazywać Synem
Żebyś był słońcem, gwiazdą, kimś jedynym
Kochanym dzieckiem, które rozpoznaję
Po latach – gdy się ze mną starcem staje.

Kamień

Od początku do końca
W środku
Przypomina kamień
On będzie dla nas wszystkim
Tętni świat bez granic.

Kręcą się srebrne miasta, błędzą czarne drogi
Powstają złote góry
Płyną twarde wody.

Na morzu łupki łódek
Osiedla na falach
Biegnie żółt, za nim człowiek
W powietrzu tkwi strzała.

Wielki młyn miele piasek
Rzeka wznosi domy
Słońce wypala miasto
Dziecko je trzyma na dłoni.

Gwiazda w końcu świata

Ziemia ma w końcu gwiazdę
Koniec świata – miasto.
Zbiegają się ulice
Masa – zmienia w światło.

Dziecko jest starsze od nas
Zwijają stulecia.
Ten, kto by umarł – żyje.
Ten, kto jest bliski – czeka.

Kolęda

Światło jest śniegiem, gwiazda – lodem
Mróz skrzypi, błyszczy obrus drogi
Usnęły szare ptaki pod jemiolą
To, co się musi zdarzyć, jest rozmową.

Wysokie chóry, Kogoś nie ma
Na niebie płyną srebrne ryby
Złocistą jodłę wiozą ciężkie sanie
Rozmową jest to wszystko, co się staje.

Ktoś się podnosi, Kogoś woła
Z Kimś będzie szedł przez śmierci bramę
Śpi czarna szopa, noc otwiera ranę
To, co się musi zdarzyć, jest spotkaniem.

Przyjście

A jednak przyszedł.

Coś się musiało stać
Ktoś Go wołał.

Był cały jak śnieg.
Płakał.

Ten, kto zostaje

Robi się późno, dzień się zmienia w ciemność
W ziemi jest gorzycz, w drzewa wchodzi płomień
W ogrodzie rosą cienie i popioły
Zostaje tylko Ten, kto musi odejść.

Nie można sobie znaleźć miejsca, ktoś odchodzi
Ciało jest cierniem, ból – wygnaniem
Ktoś kogoś woła, ktoś komuś umiera
Ten, który musi odejść, pozostaje.

Gród

Miasto na bagnach, pachną dzikie trawy
Zmienia się księżyc, straże strzegą mostu
Pod domem lampka, na drzwiach złote światło
Ktoś, kogo nie ma, mieszka w środku.

Dzieli się solą, pochylają głowy
Skądś słycać granie, zbliża się ulewa
Ktoś przez pokoje niesie ogień
Jest tylko Ten, którego nie ma.

Mała ojczyzna

Rozmowa jest małym światem – ma świecący środek
Długie, mleczne podróże, czarne dziury w niebie
Ucieczki, zawracanie, gniew, lenistwo, otchłań
Słodkie, niebieskie ciała, kręcenie się w kółko.

Lekki szept, oddech wciąż zmieniają ziemię
Wędrują w kamieniach, przenoszą się w ziarnie
Niepostrzeżenie kładą wielkie drogi
Budują ciepłe domy, wytyczają ogród.

Jak łatwo Słowo może stać się miastem!
Przez rynek płynie rzeka, na brzegach są drzewa
Tych, którzy jedzą ich liście, nie dotkną choroby
Ci, co piją jej wodę, będą żyli w śpiewie.

Las

Czym był ten las liściasty, ta rozmowa
Szelest, ten szmer, trzask chrustu, zawodzenie czajki
Ten grząski grunt, niepewność, turzyce, kaczeńce
To zapadanie się, znikanie, zbliżanie się
Obcość?

Co znaczyły podejścia – wyciąganie ręki
Skradanie się w ciemności, łowy nietoperzy
To szamotanie się, te rany – płacz
Ściskanie zębów, pisk rudzika
Bas sowy, ten ból
Ta obecność?

Czym była leśna rzeka? – Schronieniem?
Nadzieją? Z brzegami w ostach, w szuwarach
Z pijawkami w głębi; musieliśmy
Nad nią mieszkać, to znaczy: gdzie indziej
Być może obietnicą...
Być może pragnieniem...

Z Rilkego (III)

Co zrobisz Boże, gdy odejdę?
Twoje naczynie (kiedy się rozbije?)
Twój napój (gdy go pleśń okryje?)

Twa szata, Twoje zatrudnienie
Twoje znaczenie znikną ze mną.

Stracisz mnie, stracisz swe mieszkanie
Najbliższe słowo, powitanie;
Z Twych stóp zmęczonych szemrząc spłynię
Szorstki aksamit, którym byłem.

Spadnie Twój gwiazdny płaszcz – spojrzenia
Ciepłe jak pościel, w której spałem
Będą mnie szukać lata całe
W zachodach słońca, w czarnych cieniach
Jakbyś urodził głaz – nie mnie.
Co zrobisz Boże? Drzę...

Opowieść Ojca (I)

Musiałeś odejść, musiałem być obok
W progu, w drzwiach, we śnie
W przejściu, w bramie
Zapalać czarne świece, ćwiczyć cię w czuwaniu

Pisać listy na piasku – bez słów
Bez goryczy, na marginesie
Na granicy

Trochę się martwić – zbierać martwe kwiaty
Rozrzucać kompost, palić chwasty
Wymieniać zapasy.

Musiałeś odejść. Chciałem być gotowy
Wciąż w ruchu, w ziemi
W ogniu – roztargniony

Leniwe lata, dni, miesiące chłodne
Nie mogłem zasnąć.
Nie mogłeś zapomnieć.

Opowieść Ojca (II)

Jak zbieracz – w liściach
Leśnych skrytkach, norach
W śmieciach, trochę na oślep
W martwych polach

Tak, jakby Mnie nie było
Z raną na ramieniu
Bez głowy, z nosem przy ziemi
W środku, w kamieniu

W nocy, w ogrodzie
Jak ostatni głupek
(Krok w krok tropiciel
Wącha łajno suche)

Bez powodu
Bez znaku, bez śladu, bez słowa
Zawsze w okrucinach. We śnie
Zawsze nieopodal.

Historia

„Będziesz mnie szukał, będę Ci umierał
Kurczył się w śpiewach, w zawodzeniach
Niesiony, jakby mnie nie było
Za snopem kwiatów, za jedliną
Jakbym nie płynął w gładkim statku
Nie tańczył pośród gwiazd dwunastu
W ogrodzie, nocą, w lekkim ogniu
Dotkniesz Mnie światłem, wyrwiesz z grobu
Na łące z czarną wierzbą, złotymi chmurami
Święcił na rynku, wołał kadzidłami
Będziesz jadł mój chleb i pił moje wino
Co począłbyś, gdybym Ci zginął”?

Dziesięć słów Ojca

Schowasz Mnie w nocy, w sennym drzewie; w gwiazdach
Mnie skryjesz, otoczysz milczeniem; będziesz otulał
Mroźną korą, szędzieliną, łagodnym
Śniegiem, zanurzał w gęstwinach
Korzeni traw, w swych dłoniach chował
W rękawach, w mufkach, chował, jak się chowa
Skowronka: w lekkiej ziemi, w niebie
Będziesz Mnie nosił w sercu, przykryjesz kamieniem
Zamkniesz mnie w zamku – będę Twą obroną
Będziesz uciekał – będę Twoją wolą.

Próba życiorysu

Urodziłem się w Tomaszowie Lubelskim. Rok też jest istotny (1965), ale miejsce wydaje mi się ważniejsze. To miejsca nas ustanawiają, organizują wyobraźnię. To one są czymś pierwotnym. Czas jest wobec nich czymś wtórnym. W Tomaszowie mieszkali moi dziadkowie i spora część rodziny, czuliśmy się tam zawsze u siebie. W 1968 r. moi rodzice stracili pracę, przeprowadziliśmy się do Tyszowiec, ale Tomaszów był zawsze ważny; potem – już po rozdrobieniu województw – Zamość. Miejsca organizują nam nie tylko wyobraźnię, ale także język. W Tyszowcach przed wojną mieszkało tylko kilka polskich rodzin. Przeważającą większość stanowili Żydzi i Ukraińcy. Podobnie było w wielu wołyńskich miasteczkach. Mój tata mówił po ukraińsku tak samo dobrze, jak po polsku. Zdaje mi się też, że moja niania była Ukrainką, bo piosenki, których mnie nauczyła, mają więcej słów obcych niż polskich. W Tyszowcach chodziłem do szkoły podstawowej i do liceum. Kiedy rok przed maturą przeczytałem *Sklepy cynamonowe* Brunona Schulza, świat stał się czymś zupełnie innym, uzyskał wielowymiarowość i głębokość. Schulz zrobił ze mnie poetę.

To inicjacyjne doświadczenie popchnęło mnie do studiowania polonistyki, równocześnie uzupełniałem też wykształcenie muzyczne. Dyplomu organistowskiego nigdy nie zrobiłem, za bardzo uwiodła mnie literatura, a potem także pewna nowosądeczanka. W 1989 r. obroniłem magisterium, założyłem rodzinę i zacząłem pracę w nowosądeckim liceum. Na spotkania doktorantów jeździłem z Sącza nocnym pociągami, nocnym też się wracało, buty trzeba było przywiązać blisko głowy, spało się na bagażu, żeby nie ukradli. Pod koniec studiów i jeszcze na początku lat 90. początek wakacji spędzałem w jednej ze szkół we Fribourgu w Szwajcarii. Zdarzało się, że w czasie przerwy biegłem na wykład Emmanuela Levinasa. Byłem asystentem pomocnika woźnego. Zajmowałem się myciem okien.

Potem studiowałem też jeden semestr w Belgii, w uniwersytecie Mons-Hainaut i w sumie kilka semestrów w uniwersytetach niemieckich (w Bochum, Münster, Eichstätt i Kiel) dzięki różnym stypendiom. Debiutowałem w 1992 r. na łamach „W drodze”, wygrałem tam konkurs poetycki, potem współpracowałem też z lubelskim „Akcentem”.

W 1993 otrzymałem wyróżnienie w konkursie lubelskiego oddziału SPP na tomik – dzięki temu mógł się on ukazać. Wiele lat publikowałem w różnych czasopismach literackich – lepszych i gorszych. Dość długo szukałem własnej drogi – może dlatego, że miałem alergię na „bruLion”, a może przez to, że raz po raz zdradzałem poezję z krytyką, krytykę z historią, a historię z teorią literatury (choć kochałem je wszystkie); może też z powodu częstych wyjazdów za granicę i tego, że od czasu do czasu zmieniałem pracę.

Na początku 2001 r. trafiłem na łamy „Toposu” – najpierw jako recenzent, potem także poeta (w 2002 r. otrzymałem II nagrodę w konkursie im. R. M. Rilkego) i eseista. Dziś wiem, że jestem częścią środowiska, które stopniowo konstituowało się wokół tego czasopisma, pracowało nie tylko nad tekstami, ale też samoświadomością. W Bibliotece „Toposu” opublikowałem trzy tomy poetyckie i jeden krytyczny (liryki z tomiku *Gorce Pana* wyróżniono nagrodą im. Józefa Mackiewicza w 2008 r.). Z czasem zrozumiałem, że moje kolejne książki naukowe (doktorat w 1998 r. i habilitacja w 2008 r.) nie są obojętne dla mojego dojrzewania jako krytyka, że też jakoś pracują, odzywają się m.in. w szkicach interpretacyjnych zamieszczonych niedawno w „toposowej” książce *Wiersze wobec Innego* (2012). Co więcej, że poszerzają wyobraźnię, wzbogacają perspektywę poznawczą, która pojawia się w liryce. To przekonanie pojawiło się już parę lat temu, gdy byłem wykładowcą w PPWSZ w Nowym Targu i po zajęciach chodziłem w Gorce; gdy zawiązałem rozmaite przyjaźnie w krakowskim oddziale SPP. Próbuję jakoś to łączyć: pracę w Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie (jestem zatrudniony na stanowisku profesora nadzwyczajnego w Katedrze Literatury Współczesnej), warsztaty w Studium Literacko-Artystycznym w UJ, zainteresowania krytyczno-literackie, wędrówki, wiersze. Wciąż mi się wydaje, że jedno życie to za mało... **Wojciech Kudyba**

ROZPOZNANIA

TYSZOWCE I INNE MIASTA (2005)

Piotr W. Lorkowski, *Wezwanie i Rozmowa*, „Fraza” 2006 nr 4: W świadomości ponadlokalnego czytelnika zapisały się Tyszowce dzięki sienkiewiczowskiej *Trylogii* jako miejsce zawiązania antyszwedzkiej konfederacji (1655). Co bardziej dociekliwi przypomną sobie urodzonego tutaj, zmarłego zaś na niemieckim wygnaniu, wciąż zapoznanego poetę Arnolda Słuckiego (1920–1972). Potem zapadło nad nimi długie milczenie. Aż zjawily się nam, zmartwychwstały i powróciły Tyszowce wskrzeszone, w pewnym sensie stworzone od nowa, w wierszach Wojciecha Kudyby.

Karol Maliszewski, „Rytm który ocala”. *Notatki o dojrzałym debiucie* „Czas Kultury” 2005 nr 2: W tak zakreślonej ramie, tworzonej przez wiersze bezpośrednio odnoszące się do tytułowych Tyszowiec, poeta pomieścił kilkanaście utworów niezwykle mocno ze sobą związanych, tworzących wręcz małe poematy czy też cykle wierszy. We wszystkich są Tyszowce, we wszystkich istotny jest ruch, dążenie, wędrówka i nazywanie przestrzeni według klucza „sacrum” – po prostu są miejsca bardziej i mniej ważne, święte albo zgoła zupełnie świętości pozbawione. Czy to nie jest w tej książce najcenniejsze i czy to właśnie nie decyduje o dojrzałości tego debiutu?

Artur Nowaczewski, *Czytanie Tyszowiec i innych miast*, „Frona” 2005 nr 3: Bohatera *Tyszowiec* otacza nie tylko piękno natury, przejmująca materialność rzeczowników, ale także przyjaźń nazw własnych (...). Sensualność poezji Wojciecha Kudyby, obfitość szczegółów jest wpisana harmonijnie w większą całość, która tę poezję przekracza (...). Napotykanne przez bohatera miasta – to także dotknięcie historii konkretnej, rozpisanej na lata i stulecia. Miasto zatem to nie tylko jego mury, ale także ludzie. Miasto to polis. Czytanie miast jest więc także wędrówką w głąb kultury. Polis – bezpośrednio dziedziczy Kudyba po Herbercie.

Marek Bernacki, „Rozmowa z Nim jest jak podróż – zawsze w innym miejscu” – o poezji Wojciecha Kudyby, „Akcent” 2006 nr 2: Trzeba zaznaczyć, że wszystkim wymiarom poetyckiego wędrowania towarzyszy w wierszach Wojciecha Kudyby głęboki namysł i ekstatyczny zachwyt nad rzeczami tego świata. Dla wędrowca znakami pełnymi ukrytych treści stają się rzeczy najzwyklejsze w świecie: ogród, staw, żaba, studnia, źródło, morena, ścieżka czy droga. Choć te pojedyncze rzeczy-znaki występują niemal w każdym wierszu zamieszczonym w tomie, to jeden z nich wart jest szczególnej uwagi. Mowa o hymnicznej medytacji znacząco zatytułowanej *Miejsca czyste*, nawiązującej do epifanicznych wierszy Miłosza (np. do *Godziny*), a w finale także do lozańskiej liryki Mickiewicza.

Przemysław Dakowicz, *Potrzeba całości*, „Tygiel Kultury” 2005 nr 7–9: W trakcie lektury zbioru wierszy *Tyszowce i inne miasta* Wojciecha Kudyby uparcie towarzyszyło mi zdziwienie – jedność obrazu i myśli, niemal tożsamość treści i formy, jakaś zaskakująca, tak rzadko obecna we współczesnej poezji wewnętrzna harmonia, czyniąca wszystkie elementy dzieła koniecznymi, spotkały się tutaj z bogactwem obrazowania, wielością przedmiotów, miejsc, krajobrazów, wydarzeń z przeszłości, z prawdziwym ziemskim gąszczem, labiryntem znaczeń, w którym czytelnik porusza się niejako oszołomiony, odurzony kształtami, barwami, zapachami, by ostatecznie dać się poprowadzić do „środka”, do „centrum”.

Wojciech Ligęza, *Rozmowa jest miejscem*, „Tygodnik Powszechny” (Książki w Tygodniku) 2006 nr 7–8: Poezja Wojciecha Kudyby rozgrywa się między pewnością dotknięcia ziemi a błędzeniem-poszukiwaniem, bowiem w tych wierszach człowiek nieustannie stara się odczytać tajemną mowę rzeczy, zmierzyć z niepoznawalnym, odgadnąć Boskie przesłanie. Znaki są na pół zatarte, lecz nie ma wątpliwości, że należy się wczytywać w „przejrzysty szyfr śniegu” (*Kraków*), wsłuchiwać – „w mowę rzecznego pomostu” (*Woda*). Cały świat jest bowiem przesłaniem.

Zofia Zarębianka, „*Miejsca święte*” w wierszach Wojciecha Kudyby, „Dekada Literacka” 2007 nr 5–6: W obrębie całego tomu mamy (...) do czynienia z pewnym procesem duchowym, którego znakiem wydaje

się porządek wędrówki. Jej zasadnicze przystanki symbolizowane są przez wymienione już wcześniej rekwizyty przestrzenne. Pełnią one funkcję słów-kluczy i mają zasadnicze znaczenie nie tylko dla ukazania wewnętrznej natury kreowanych przez Kudybę obrazów poetyckich, ale stanowią o ich mityczno-baśniowym charakterze, determinując sferę sensów głębokich tej twórczości. Jeżeli przyjąć, że ogród oraz miasto pozostają wobec siebie w opozycji, to można w precyzyjny sposób wyznaczyć szlak podróży bohatera lirycznego. Ogród mianowicie wskazuje na rzeczywistość pierwotną, na rajski początek, niewinność oraz szczęśliwość, przez co ukazuje się jego ścisłe powiązanie semantyczne ze znaczeniami niesionymi przez dzieciństwo. Miasto, rozumiane jako „miejsce święte”, Jerozolima, ukazuje natomiast kres, ostateczny cel podróży, szczęśliwość wieczną, niebieską, pozaziemską, wreszcie: samego Boga. Podróż odbywa się od ogrodu ku miastu.

Anna M. Szczepan-Wojnarska, *Nad wierszami Wojciecha Kudyby „Tyszowce i inne miasta”, „Topos” 2005 nr 3:* Utworem szczególnej urody pozostaje dla mnie *Cegielnia* – w sposób nieco tajemniczy i dyskretny wprowadza w rzadki proceder podpatrywania sakralizacji nie jako procesu społecznego, ale jako naturalnego biegu rzeczy. Sakralizacja dokonuje się w momencie zamarcia i zaprzeczenia. To, co służyło budowaniu, samo popada w ruinę, nieobecność człowieka sygnalizowana jest przez odpady, resztki, śmieci stając się miejscem bożym – „bożym eremem”, w którym słońce chce wypalić Kościół, nieprzypadkowo pisany wielką literą, bo to Kościół w ogniu wypróbowany, apokaliptyczny.

GORCE PANA (2007)

Maciej Urbanowski, *Rekomendacje, „Rzeczpospolita”. Dodatek „Rzecz o książkach” z 5–6 stycznia 2008:* Uwaga, arcydzieło. Trzydzieści trzy wiersze opisujące w zmysłowy, bardzo malarski sposób baśniowe piękno Gorców, których przemierzanie staje się sposobem głębokiego, a zarazem jakby ludowego doświadczania Boga. Niektóre z liryków, np. *Sykstyna. Kulig czy Przystop* powinny się stać klasyką. Moim zdaniem najważniejsza książka poetycka roku 2007.

Maciej Urbanowski, O Gorcach Pana Wojciecha Kudyby, „Arcana” 2008 nr 2: (...) *Gorce Pana* są arcydziełem, bo czytając je odczuwałem emocje, jakie w moim przekonaniu towarzyszą lekturze dzieł najwyższej rangi, a więc zachwyty, wzruszenie, poruszenie, radość. Ale też dodam – gdyby mnie ktoś naciskał – że w mojej definicji „arcydzieła” ważne jest przekonanie, że cechą arcydzieła jest jego artystyczna doskonałość i unikalność zarazem, ale też związane jakby z samym tym słowem, prześwitujące przez nie, pojęcie „dzielności”, czyli wpisany jest weń projekt heroicznego życia...
To wszystko znajduję w wierszach Kudyby, które widzę jako oryginalny, wyjątkowy projekt artystyczny i duchowy.

Andrzej Sulikowski, *Gorczański wóz z sianem*, „Pogranicza” 2008 nr 3: Sam tytuł książki brzmi zagadkowo dla kogoś nie obeznanego z tutejszymi górami. Pradawna nazwa kompleksu górskiego ma się wywodzić od czasownika „gorzeć” i oznacza tereny puszczańskie pozyskane przy użyciu ognia pod uprawę rolniczą czy wypas bydła, a więc metodą pierwotną. Działo się to wszystko w pierwszych wiekach państwowości polskiej albo jeszcze wcześniej. Coś z prasłowiańskiej żarliwości pojawia się także w wierszach Kudyby, powstałych przecież na początku XXI wieku. Jest to dowód na wrażliwość poety, wydobywającego z atmosfery Gorców dawne złoza religijne i przyrodnicze.

Adriana Szymańska, *Poeta – mistyk*, „Przegląd Powszechny” 2008, nr 3: (...) dla poety świat z jego pięknem i zgrozą istnieje nie jako tło, ale jako integralna część ludzkiego bytu, ludzkiego ducha i ich Boskiego Opiekuna. Wszystko składa się tu w wielkie misterium, w którym żywi spotykają się ze zmarłymi, grzesznicy ze świętymi, przedmioty z ich twórcami, a natura jest Kościołem, w którym najistotniejszą formą obrzędów religijnych jest wspólna modlitwa wszystkich: Boga, ludzi, roślin i zwierząt, obłoków i duchów, żywiołów przyrody, światła i cieni.

Tomasz Burek, *To, co nas przemienia*, „Arcana” 2009 nr 1: Pozostając w swej pierwotnej, wizualnej warstwie poezją wiernie odmalowanego krajobrazu i nie zacierając w rzeczach ich sensualnej, fizycznej i topograficznej konkretności, *Gorce Pana* okazują się być w drugiej warstwie – muzykalnej, śpiewno-brzmieniowej, i w trzeciej – intelektualnej, poezją wybitnie religijną. Wszystkie elementy i zjawiska ze

świata przyrody są tu bowiem pokazywane w całej ich bytowej realności i substancjalności, a zarazem traktowane jako znaki, którymi „coś”, inne od natury i od nas, nadprzyrodzone, sygnalizuje swoją obecność. (...) Bliski ekstazie zachwyt pięknem świata i jasna świadomość przeobrażającej mocy Krzyża w dziejach człowieka czynią z *Gorców Pana* stop liryczny wyjątkowo szlachetnej próby.

Adrian Gleń, „Zostań, czuwajmy, płonie ogień”. *Wojciecha Kudyby „Gorce Pana” [Notatki osobiste], „Topos” 2008 nr 4:* Tomik nowosądeckiego poety czytam jako refleksję na temat fundamentalnego charakteru poznawania i percepcji. Nasze widzenie świata, uczy Kudyba, zależy także od pozycji ciała, niepowtarzalnej i momentalnej faktury barw wyznaczanych przez stany światłości. (...) Problem usytuowania człowieka względem świata widzę jako jeden z podstawowych w refleksji Kudyby. Gdzie jesteśmy? – pytanie niebanalne. Gdzie jesteśmy prawdziwie – w górze, w dolinie, w drodze, na szlaku, w zatrzymaniu?

Jadwiga Puzynina, *O poruszającej poezji Wojciecha Kudyby, „Poradnik Językowy” 2013 nr 5:* Nowością są w *Gorcach Pana* elementy ludowości, obecne m.in. w tytułach, takich jak *Pieśniczka o dzikiej róży* (są też *Pieśniczki: o barankach, wieczorna i poranna*), *Bajdalka o Bukowinie*, *Idzie dysc*, *Cuda*, *wianki*. (Te dwa ostatnie żartobliwe tytuły poeta zderza z treściami poważnymi i wyrażonymi zupełnie nie ludową formą). Elementami ludowej stylizacji są pojawiające się w tekstach wierszy gwarowe słowa, takie jak np. *fujawica* ‘zamięć’, *mojki* ‘młode odrosty drzew iglastych’, *baniory* ‘zagłębienia w korycie rzeki wyżłobione wirowym ruchem wody’, *strągi* ‘zagrody dla owiec’; elementami stylizacji są też takie nazwy roślin, jak *psiarki* ‘górskie liche trawy’, *skorusyna* ‘jarzębina’, *wiechlina* ‘rodzaj trawy występującej w *Gorcach*’. Poeta wprowadza też (zwłaszcza w większości wierszy o tytułach wziętych z gwary), tematy i obrazy świata charakterystyczne dla myśli i twórczości ludowej; śledzi obecność tak ważnego dla niego wątku więzi z Bogiem w pobożności i fantazji ludowej.

Stefan Sawicki, „Gorce Pana”, czyli próba neosymbolizmu, w: *Słowa i metody. Księga dedykowana profesorowi Jerzemu Świąchowi*, pod red. A. Kochańczyk i in. Wyd. UMCS, Lublin 2009, s. 605: Mowa tu

o wierszach, które bez wahania odczytujemy jako lirykę religijną. Nie jest ona często obecna we współczesnej poezji. W wierszach Kudyby charakterystyczny jest autorski sposób prezentacji ewokowanej w nich rzeczywistości, który można by paradoksalnie nazwać symbolizmem realistycznym. Motywy silnie obecne w świecie fizycznym stają się motywami symbolicznymi w rzeczywistości metafizycznej: albo bezpośrednio, albo przez uczestnictwo w wymowie całości utworu. Sieć skojarzeń nie pozostawia wątpliwości, że chodzi tu o rzeczywistość, na którą wskazuje semantyka Pisma, zwłaszcza Ewangelii, a przecież nie narusza to naszego poczucia, że jesteśmy tu u siebie.

OJCIEC SIĘ ZMIENIA (2011)

Ewa Kiedio, *Musisz mnie szukać*, „Dywiz. Pismo katolickie” 2012 nr 5: Wojciech Kudyba mówi coś, co powie każdy mądry człowiek: pewien język komunikowania treści wiary przetaił się i ci, którzy próbują go jeszcze używać, wchodzą w stan śmieszności. Obrazowanie użyte przez samego Kudybę szczęśliwie jednak tę pułapkę omija, pozwalając na odbiór wielopłaszczyznowy, będąc to tym, to znów owym, niczym na pewno, za zasłoną opisu zwykłych wydarzeń pozwalając jednak opuszkami musnąć Tajemnicę. Czytając, jesteśmy Gdzie Indziej. Widzialny znak niewidzialnej łaski – tak definiuje się sakrament. I coś z tego odbija się w poetyce Kudyby.

Adriana Szymańska, *Pożegnanie – spotkanie*, „Przegląd Powszechny” 2011 nr 5: Wojciech Kudyba w sposób niemalże absolutny spełnia moje wyobrażenie o poezji doskonałej [...].

Krzysztof Lisowski *Przemiany Ojca*, „Nowe Książki” 2011 nr 6: Poszczególne wiersze z książki Kudyby można traktować jak rozpisane na części misterium wtajemniczenia i objaśniania [...] Oto byliśmy kiedyś bezrozumnymi czy bezrefleksyjnymi dziećmi, potem ludźmi „nieuważnymi”, o rozproszonej uwadze, traktowaliśmy Obecność Ojca jako coś – w ludzkim pejzażu – istniejącego od zawsze i zawsze naturalnego. I nagle następuje przemiana. Ojciec odchodzi, przemienia się w proch, nie słyszymy jego głosu, ale mamy w pamięci jego słowa, uwagi, wskazówki, napomnienia (...). Warto zauważyć, że Kudyba (...) potrafi te najważniejsze sprawy egzystencjalne „uzwyczajnić”

poprzez stosowanie języka konkretnego, dykcji pełnej uważności, czułości dla detalu. A to sztuka, która nie zawsze się udaje nawet największym poetom.

Wojciech Kass, *Korespondencja z ojcem (o poezji Wojciecha Kudyby)*, „Topos” 2011 nr 6: Kto mówi z tych wierszy? Mówi ojciec i syn razem, którzy są w mężczyźnie. Ta granica jest jednoznaczna, całkiem uchwytna. W głębi nich dokonuje się przekaz – wymiana i przemiana, ustalają się płaszczyzny wspólne i łączne oraz odrębne i różniące. Ojciec umiera, lecz trwa w synu, ale i w synu coś umiera, gdy odchodzi ojciec. Tracą siebie i znajdują, oddalają się od siebie i zbliżają, przepadają i znów się spotykają.

Grzegorz Kociuba, *Bohater dawnych opowiadań, „Twórczość” 2012 nr 3:* Majsterstwo tomu Kudyby daje o sobie znać nie tylko w semantycznej gęstości i stylistycznej konsekwencji poszczególnych wierszy czy też w zwartej i przejrzystej kompozycji książki. Widać ją również we współdziałaniu kilku narracji, pozwalających oświetlać rzeczywistość od różnych stron.

Krzysztof Koehler, *Ojciec się zmienia, „Arcana” 2013 nr 1:* Jego wiersz, wciągający maestrią, jego opowieść, jakby rozsuwająca precyzyjnie różne warstwy języka, próbuje się ojcostwem nasycić uciekając do wspomnień, fragmentów, grzebiąc gdzieś w rupieciech, pod korą drzew, pod skórą widzialnego, w świętych opowieściach, w mitach. Prowadzi swoją męską opowieść Kudyba na granicach: doświadczenia duchowego i widzialności, doświadczenia osobistego i generacyjnego współ-zrozumienia, szukając znaków, śladów Ojca, sam mocne ślady odciskając w mule życia.

[Wybór i redakcja not od Redakcji.]

SPIS TRESCI

OD AUTORA	5
I. INNE MIASTA	
<i>Dzieci</i>	9
<i>Siwa Dolina</i>	12
<i>Zwierzę poetyckie</i>	13
<i>Plewienie marchwi</i>	14
<i>Zakryta Studnia</i>	15
<i>Mozaika</i>	16
<i>Odnalezione</i>	17
<i>Tomaszów</i>	18
<i>Woda</i>	19
<i>Wóz siana</i>	20
<i>Cegielnia</i>	21
<i>Pogoda</i>	22
<i>Środek i obwód</i>	23
<i>Stary Sącz</i>	24
<i>Wstępowanie</i>	25
<i>Miasta</i>	26
<i>Zamość</i>	27
<i>Ziemia święta</i>	28
<i>„On będzie miasto”</i>	29
<i>Kraków</i>	30
<i>Częstochowa</i>	32
<i>Alwernia</i>	34
<i>Rozmowa</i>	35
<i>Dom</i>	36
<i>Miejsce</i>	37
<i>Oderwanie</i>	38
<i>Ktoś, kto rozmawia</i>	39
<i>Miejsca czyste</i>	40
<i>Ogród</i>	41
<i>Stolica</i>	42

II. INNE GÓRY

<i>Kowaniec</i>	45
<i>Pasterka</i>	46
<i>Koliba</i>	47
<i>Widok ze Sralówek do doliny ucichłej</i>	48
<i>Cień</i>	49
<i>Anioły</i>	50
<i>Sykstyna. Kulig</i>	51
<i>Noc</i>	52
<i>Sen</i>	53
<i>List od mamy (I)</i>	54
<i>List od mamy (II)</i>	55
<i>Żal</i>	56
<i>Czekanie</i>	57
<i>Duch</i>	58
<i>Przebudzenie</i>	59
<i>Spowiedź</i>	60
<i>Idzie dysc</i>	61
<i>Sromowce</i>	62
<i>Stare Maniowy</i>	63
<i>Robotnicy</i>	64
<i>Marnotrawny</i>	65
<i>Duchy (I)</i>	66
<i>Duchy (II)</i>	67
<i>Tam</i>	68
<i>Mama</i>	69
<i>Kopia Górka</i>	70
<i>Szlak</i>	71
<i>Tymianek</i>	72
<i>Jamna</i>	73
<i>Cuda, wianki</i>	74

III. KOGO BRAK	
<i>Z Rilkego (fragment)</i>	77
<i>Woda</i>	78
<i>Ogień</i>	79
<i>Wiatr</i>	80
<i>Ziemia</i>	81
<i>To</i>	82
<i>Glina</i>	84
<i>Gwiazdy</i>	85
<i>Szklarnia</i>	86
<i>Wódz</i>	87
<i>Ogród klasyków</i>	88
<i>Przemilczenia</i>	89
<i>Ogród kabalistów</i>	90
<i>Żegnanie</i>	91
<i>List (I)</i>	92
<i>List (II)</i>	93
<i>Z Rilkego (II)</i>	94
<i>Kamień</i>	95
<i>Gwiazda w końcu świata</i>	96
<i>Kolęda</i>	97
<i>Przyjście</i>	98
<i>Ten, kto zostaje</i>	99
<i>Gród</i>	100
<i>Mała ojczyzna</i>	101
<i>Las</i>	102
<i>Z Rilkego (III)</i>	103
<i>Opowieść Ojca (I)</i>	104
<i>Opowieść Ojca (II)</i>	105
<i>Historia</i>	106
<i>Dziesięć słów Ojca</i>	107
PRÓBA ŻYCIORYSU	108
ROZPOZNANIA	110

© by Wojciech Kudyba, Sopot 2014

Redaktor tomu:
Krzysztof Kuczkowski

Zdjęcia:

Na I str. okładki: Hieronim Bosch, *Wóz z sianem* (fragment części środkowej), ok. 1516, panel (tryptyk) olej na desce, rozmiar: 135 x 200 cm, 135 x 100 (x 2), Muzeum Prado.

Ilustracje na str. 33 i 83: Maya Noval.

Portret autora na IV str. okładki – Tomasz Sławiński.

DTP:
Marcin Ekert

Druk:
Firma Poligraficzna CMYK

Wydawca:
Towarzystwo Przyjaciół Sopotu

Seria wydawnicza:
Biblioteka „Toposu”, T. 94

Adres wydawcy:
Towarzystwo Przyjaciół Sopotu
Redakcja „Toposu”
81-706 Sopot
ul. Czyżewskiego 12
Tel. 585 510 756
www.topos.com.pl
e-mail: topos10@interia.pl

ISBN 978-83-61002-58-1